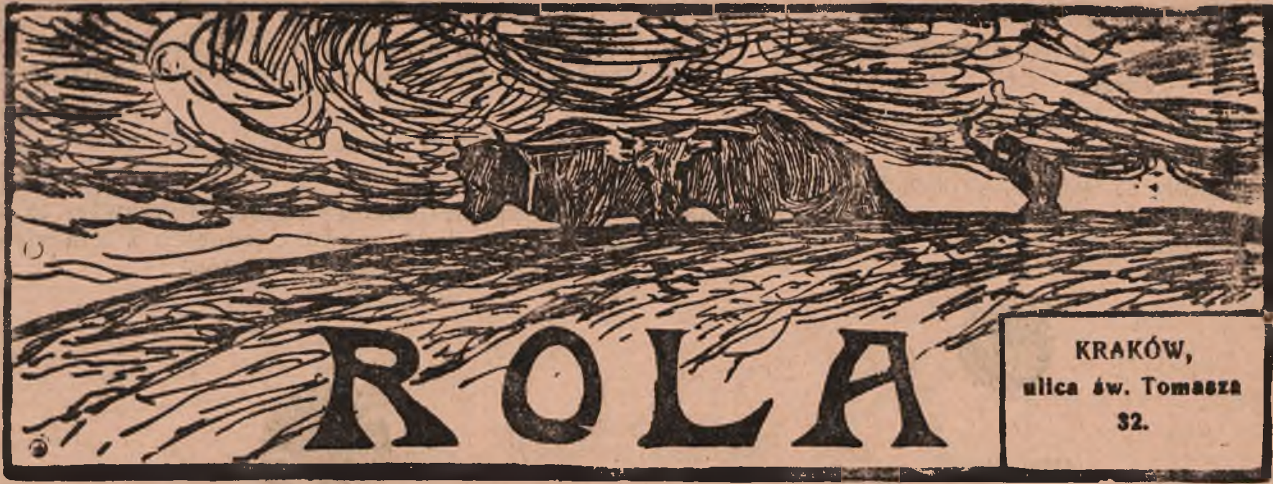
Numer 50 Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 9 Grudnia 1928**



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Zawiadomienie.

Zawiadamiam niniejszem, iż z dniem 20 listopada 1928 r. przeniosłem swój

Zakład lekarsko-dentystyczny i techniczny

do domu p. A. Jurysia, przy ulicy Józefa Piłsudskiego w Krośnie (obok Kasy Oszczędności), gdzie wykonuję nadal wszelkie zabiegi w zakres dentystyki wchodzące.

Z poważaniem
lekarz-dentysta
Aleksander Romm.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

W tramwaju.

Konduktor: — Ile ten chłopak ma lat?

Matka: — Cztery.

Konduktor: — Ile lat masz synku?

Chłopak: — Cztery.

Konduktor: — Dobrze — niech jedzie tym razem bezpłatnie, ale jak on podrośnie, to będzie albo kłamca, albo olbrzym.



Otwartość.

— Wie pani, uczeni stwierdzili, że im dłużej dwoje ludzi żyje ze sobą w małżeństwie, tem bardziej stają się do siebie podobni.

— Taak! To ja już za pana nie wyjdę zamąż.



Zwykły los.

— Wiesz pan — jaki los spotyka pannę, — kiedy dojdzie do 30 lat?

— No jaki?

— Wiek jej staje na miejscu — a ona na koszu.

Koza czy małpa?

Za damą, ubraną w duży futrzany płaszcz, idzie dwóch młodzieńców: — Jeden z nich zapytuje:

— Czy to koza?

Na co drugi odpowiada:

— Nie, to wydra.

Natomiast dama we futrze, usłyszawszy to, obraca się i spogląda w twarz jednemu z młodzieńców, oświadcza z naciskiem: — Małpa!...



Odcięła się.

Lowelas z patosem do młodej dzieweczki: — O! pani, czy nie zechciałabyś zostać słońcem mego życia?...

Dzieweczka: — Z największą chęcią. Jakżeby było mi miło być od pana oddaloną, tak jak słońce o 20 miljonów mil...

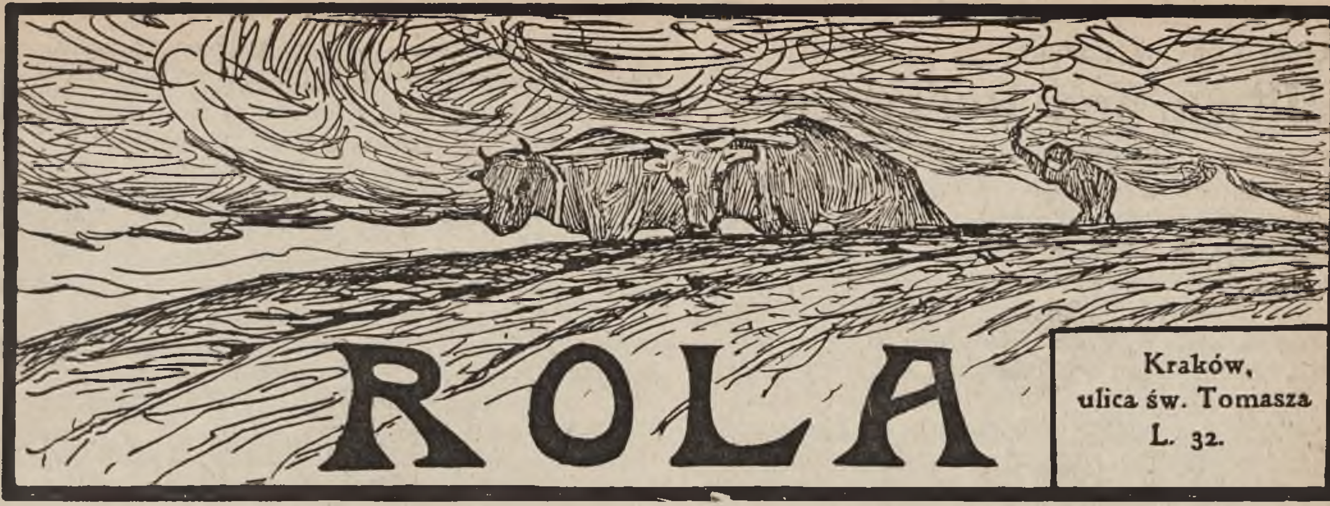


Na wsi.

— Czy tu u was we wsi wszystkie dziewczęta takie ładne jak panienka?

— Nie wiem... bo ja się patrzę tylko na chłopców.

Numer 50. Rok XI. Kraków, dnia 9 Grudnia 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara, rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Niepokalane Poczęcie.

Niema na świecie katolika, któryby nie wierzył, że Najświętsza Marja Panna przyszła na świat bez grzechu pierworodnego, a jeżeliby się taki znalazł, to byłby on grzesznikiem, nie godnym nosić nazwy katolika. Ktoby więc dziś nie wierzył, że Marja Panna jest Niepokalanie Poczęta ten popełniałby grzech śmiertelny.

A jednak dawniej było inaczej. Wolno było w to wierzyć, lub nie, a jeżeli ktoś nie wierzył, nie popełniał zupełnie grzechu. Dogmat o Niepokalanem Poczęciu ogłosił dnia 8 grudnia 1854 r. papież Pius IX i odtąd obowiązkiem każdego katolika jest wierzyć w tę niezbitą prawdę.

Ogłoszenie powyższego dogmatu nie nastąpiło tak nagle, jakoby się zdawało, gdyż już w wieku XV cześć dla Najświętszej Panny była u wszystkich narodów bardzo rozpowszechniona, a ówczesny papież i władze duchowne zastanawiali się nad ogłoszeniem nowego artykułu wiary o Niepokalanem Poczęciu, ale pomimo głębokiej wiary, że Najświętsza Marja Panna przyszła na świat bez grzechu pierworodnego, dogmatu tego nie ogłaszano, chcąc jeszcze dokładniej prawdę ową stwierdzić.

Gdy tak się zastanawiano, zdarzył się cud, który wiarę tę jeszcze ugruntował. Oto do Ojca św. przybył zakonnik, Franciszkanin, O. Baptysta z Lewantu z prośbą, aby podał mu środki na pokonanie bluźnierców i wrogów Matki Boskiej.

— Matka Najświętsza — odrzekł papież, — najlepsze da ci natchnienie.

W tej chwili obraz, mocno srebrnemi klamrami do ściany przybity, trzy razy nachylił się ku O. Baptyście i na dawne miejsce powrócił. Zjawisko to widział także papież, widział św. Jakób z Marchji, tam obecny — i wzruszeni do głębi zlecili swym podwładnym, aby wszędzie cześć Niepokalanej głosili.

Odtąd Kościół św. czyni usilne starania o jak największą cześć dla Marji wśród wiernych. Liczba czcicieli Matki Boskiej wzrasta z dniem każdym, aż doczekano się w w 1854 r. tej uroczystej chwili, w której tę odwieczną prawdę można było stwierdzić i jako niezbity pewnik całemu światu ogłosić.

Jak powszechną jest cześć dla Marji w świecie całym, dowodzi szereg kościołów, powstałych z myślą o Jej nabożeństwie i dla Niej.

Polska przodowała pod tym względem innym narodom. Najświętszą Marję Pannę czcił każdy rycerz polski, każda matka-Polka, każde dziecię polskie, a król Jan Kazimierz, składając śluby przed Jej obrazem i obierając Ją, Królowę Niebios za Królowę Korony Polskiej, uczynił tylko to publicznie, co czynili od wieków wszyscy Polacy pocichu.

O miłości naszej do Bogarodzicy świadczy wszystko, co naród stworzył pięknego w budownictwie, muzyce, poezji. Nie szukajmy daleko, popatrzmy tylko na kościół Marjacki w Krakowie, Kalwarję, Leżajsk, Częstochowę, lub Ostrąbramę w Wilnie. Posłuchajmy hejnału z wieży Marjackiej, przypomnijmy sobie pieśń św. Wojciecha „Bogurodzico!“, lub najstarsze pieśni polskie, tak zwane „Pieśni Maryjne“, sławiące Jej życie i Jej cnoty. A owa cudowna obrona Częstochowy podczas oblężenia klasztoru na Jasnej Górze przez Szwedów i tyle innych zdarzeń w życiu narodu polskiego, czyż nie świadczą z jednej strony o czci naszej ku Marji, a z drugiej o Jej opiece nad Polską?

Największy poemat polski zaczyna się od słów: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz bramie“, najbardziej rozpowszechnioną modlitwą u nas to litanja Loretańska. Najczęściej śpiewany hymn „Pod Twoją obronę“ lub pieśń „Serdeczna Matko“, a to wszystko dowodzi, że najgłębszą ufność pokładamy w Najświętszej Marji Pannie i w każdej potrzebie naszego życia do Niej się zwracamy.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

IX.

Podróż ta była bardzo uciążliwa. Romno dalej w lesie siadł na jakiegoś konika, którego mu przyprowadził jeden z cyganów, zapewne ukradłszy go gdzie na pastwisku i jechał na przedzie. Za nim szły młodsze kobiety i dzieci, potem wóz ze sprzętami i kotłem, potem drugi z kobietami i maleńkiemi dziećmi. W tyle samym i po bokach postępowali mężczyźni, uzbrojeni w wielkie, mocno żelazem okute pałki. Wyglądali oni dziko, strasznie i Janek w coraz smutniejszych pogrążał się myślach, co do swej przyszłości w tej bandzie.

Szedł on ciągle, mając przy sobie Cyngę, z boku wozów, które z trudnością posuwały się wązką, zepsutą, pełną wybojów i korzeni drożyną leśną. Janek chciał pogadać z Cyngą, chciał dowiedzieć się od niego, dlaczego go zatrzymano i co myślą z nim zrobić, ale że koło nich kręcili się ciągle starsi cyganie, więc nie mógł. Cynga też szedł milczący, nucąc pod nosem jakąś dziką piosenkę cygańską.

Wkońcu przecież, gdy wyjechali na szerszą i równiejszą drogę, tak, że na chwilę Janek znalazł się sam ze swym towarzyszem, przysunął się do niego i rzekł:

— Powiedz mi, Cynga, co wy myślicie ze mną zrobić?

Cynga nic nie odpowiedział, tylko spojrzał, jak to mówią, z podełba i nieznacznie obrzucił swym bystrym wzrokiem starych cyganów i odległość wozu, a przekonawszy się, że go nikt usłyszeć nie może, szepnął:

— Słuchaj, ty młody paniczu, Cynga cię kocha, Cynga ma takie serce, że kocha wszystkich, co mają takie oczy jak twoje.... więc Cynga ostrzega młodego panicza, ażeby nic nie gadał, o nic nie pytał, bo tu wszyscy, nawet sam Romno, nawet stara Mokryna ma na niego zwrócone oczy...

— Któż to jest stara Mokryna?

— Tss... — syknął Cynga i wyszczerzając zęby, niby się śmiejąc, szepnął — ona siedzi na wozie i patrzy na nas.

Potem odwrócił głowę od Janka i począł po dawnemu nucić swą smutną, dziką i monotonną piosnkę. Janek, zaciekawiony jego słowami do najwyższego stopnia, spojrzał na ową Mokrynę. Siedziała ona na wozie, otulona w czerwoną płachtę, twarzą do obu chłopców, a bokiem do koni, z nogami, spuszczonemi na dół i wzrokiem dzikim, pełnym tajonej złości, mierzyła Cyngę i Janka. Ten ostatni, spojrzawszy na nią, mimowolnie się wstrząsnął od uczucia pewnej bojaźni i grozy. Mokryna siedziała nieruchomie na wozie, wyprostowana, z okiem, wlepionem w Janka.

Ten, widząc te straszne oczy, wpatrzone w siebie, mimowolnie się przeraził i odwrócił głowę. Zaraz potem rozległ się suchy, chrapliwy głos Mokryny, która zawołała jednego ze starszych cyganów i coś mu szepnęła do ucha, wskazując oczami na Cyngę i Janka. Janek widział, ale nie rozumiał, coby to miało znaczyć, choć jakieś smutne miał przeczucia, które nabyły pewności, gdy spojrzał na Cyngę. Ten stanął i z okiem szeroko rozwartem, blady śmiertelnie, patrzał na rozmowę Mokryny z cyganem, nieruchomy, jakby skamieniały, widocznie przerażony do głębi.

Tymczasem cygan, rozmawiający z Mokryną odszedł od niej i, stanąwszy przy dwóch swoich towarzyszach, coś im powiedział, poczem zawołano Cyngi. Ten, milcząc, zwrócił się i spojrzał na Janka, który na wielką boleść swoją, dostrzegł w oku poczciwego Cyngi dużą łzę, toczącą mu się po policzku. Z tem wszystkiem bohater nasz nie rozumiał, o co tu idzie i co to wszystko znaczy. Patrzał za idącym ku cyganom Cyngą, widział, jak stanął przed nimi, jak im się z czegoś tłómaczył, czego Janek zrozumieć nie mógł, gdyż mówili w nieznanym mu języku — nakoniec, na wielką swą boleść i przerażenie, ujrzał, jak dwóch drabów porwało Cyngę, jeden za nogi, drugi za głowę, jak go wyciągnęli w powietrzu, a trzeci, ten sam, który z Mokryną rozmawiał, począł wymierzać batem chłopcu ciężkie razy...

Cynga jęczał boleśnie, dusząc w sobie krzyk, a dzieci i kobiety, siedzące na wozach, za każdem uderzeniem śmiały się, klaskały w ręce i dzikimi okrzykami zachęcały bijącego do mocniejszych uderzeń. Janek, jak żyje, nic podobnego nie widział — oburzony, wściekły prawie, zbliżył się do wozu i, grożąc pięścią jakiemuś brudnemu chłopakowi, który najgłośniej krzyczał, zawołał:

Ach, ty poczwaro! dam ja ci śmiać się z cudzego nieszczęścia — i chciał chłopaka uczęstować porządnie pięścią. Ale powstrzymała mu podniesioną już rękę stara Mokryna, która niepostrzeżenie zeskoczywszy z wozu, stanęła przy Janku i, chwytając go za ramię, szarpnęła nim mocno i pchnąwszy go na bok, syknęła:

— Won, ty... ty... mały psie.

I gdy właśnie w tej chwili skończyła się egzekucja Cyngi, Mokryna obróciła się do oprawców i głosem donośnym i chrapliwym poczęła coś do nich mówić, wskazując swym chudym, kościstym palcem na Janka. Oczywiście ten był jak najmocniej przekonany, że czeka go los Cyngi. Śmiertelny strach go opanował, włosy mu na głowie powstały, kiedy ujrzał ogromnego cygana z batogiem w ręku, zbliżającego się do niego.

— Chcą mię tak samo bić jak Cyngę, w oczach tych szkaradnych kobiet i dzieci, które się będą ze mnie śmiały — pomyślał Janek i dodał:

— Nie! nigdy!

I nie czekając, aż straszny cygan z batogiem stanie przy nim, obejrzał się dokoła i, widząc przed sobą gęsto zarosły las, rzucił się w bok i począł uciekać, co miał sił. Nie zważał na to, że gałęzie gęsto podszytego lasu młodemi drzewkami biły go i raniły po twarzy, że darły mu ubranie, tylko uciekał, uciekał, gnany śmiertelnym strachem. Słyszał, jak w chwili, gdy rzucił się do ucieczki, rozległ się donośny krzyk mężczyzn, kobiet i dzieci, jak dudniała ziemia pod nogami kilku cyganów, którzy widocznie poczęli go ścigać, potem, gdy zagłębił się w gąszcz leśny, wszystko ucichło, tylko rozlegał się trzask łamanych przez niego samego gałęzi, lub krzyk spłoszonego ptaka.

Janek, zmęczony, zdyszany, podrapany, nie słysząc za sobą pogoni, zatrzymał się na chwilę, ażeby chwycić nieco powietrza i rozpatrzeć się w swem położeniu.

Znajdował się pośród niezmiernie gęstych zarośli leśnych, pośród tysiąca drobnych sosenek, brzóz i dębczaków, wysokich zaledwie na jakie dwa do trzech łokci i tak blizko siebie rosnących, że na dwa kroki przed sobą nic nie było widać. Janek uznał, że lepszego ukrycia znaleść niepodobna, że jeżeli jeszcze kilkanaście kroków posunie się naprzód, zachowując wszelką ostrożność, żeby nie łamać gałęzi, to cyganie w żaden sposób nie będą go mogli znaleść.

Stał jeszcze przez chwilę, słuchając pilnie, czy nie dobiegnie go jaki hałas — ale wszędzie było cicho. Uspokoił się więc zupełnie, choć piesek, którego wczoraj ocalił i którego niósł ciągle na ręku i w ucieczce nawet nie porzucił, kręcił się niespokojnie, nadstawiał uszów i zdawał się nalegać na Janka, żeby szedł dalej.

Ale Janek, ucieszony, że wymknął się cyganom, nie wiele na to zważał. Odpocząwszy sobie przez chwilę, począł posuwać się naprzód, ostrożnie uchylając gałęzi i drzewek, żeby ich nie łamać i nie zostawiać za sobą tym sposobem śladu. W ten sposób uszedł kilkanaście kroków i znalazłszy nieco wolniejszego miejsca, zmęczony moralnie i fizycznie, położył się na bujnem zielskiem pokrytej ziemi.

Widocznie przestali go ścigać, zapomnieli o nim — myślał sobie. I był zupełnie spokojny, bo i czegóżby się miał niepokoić w głębi swego leśnego ukrycia, wśród niczem nieprzerwanej ciszy? Nie zważał wcale na to, że jego piesek, umieszczony na ziemi, ciągle się kręcił, nadstawiał uszów, a nawet wkońcu popełznął na swych trzech zdrowych nogach ku tej stronie, z której przed chwilą przybyli i z pyszczkiem podniesionym zdawał się coś niespokojnie wietrzyć. Janek wciąż na to nie zważał, spoczywał wyciągnięty na ziemi, z rękami podłożonemi pod głowę i gonił wzrokiem czarną plamkę sokoła, kołyszącego się wśród lazurów. Był zmęczony, oczy mu się kleiły do snu i myślał już o zrzuceniu z siebie płaszczyka, zrobieniu z niego poduszki i przespaniu się, gdy nagle tę niemą kontemplację i ten bezpieczny spokój naszego bohatera przerwał straszny i niespodziewany wypadek.

W chwili bowiem, gdy podniósł się nieco, zamierzając zrzucić z siebie płaszczyk, rozległ się nagle trzask gwałtownie łamanych gałęzi, i zaraz potem donośne, zajadłe szczekanie — i na skraju maleńkiej polanki, na której Janek leżał, ukazał się łeb psa cygańskiego. Stał on do połowy wychylony z gąszczu leśnego, z paszczą rozwartą, ukazując szereg strasznych zębów, zziajany, z językiem wywieszonym, z sierścią najeżoną na grubym karku, z oczami krwią zaszłemi. Stał i ujadał zaciekle, głośno, a odgłos jego szczekania rozlegał się po lesie donośnie.

Janek, ujrzawszy się zdradzonym, wyśledzonym, skamieniał odrazu, ale, odzyskując przytomność, i energję, zerwał się na nogi i chciał uciekać, gdy pies, zobaczywszy to, rzucił się ku niemu. Janek był bezbronny, nie miał nawet kija w ręku, w jednem mgnieniu oka poznał więc, że walka z olbrzymim dzikim psem do niczego nie doprowadzi. Mimowolnie, w najwyższem przerażeniu, cofnął się parę kroków wstecz, gdy nagle przyszła mu pomoc ze strony całkiem niespodzianej.

Maleńki ów piesek, którego wczoraj ocalił i który tyle niepokoju okazał podczas spoczynku Janka, w chwili, gdy olbrzymi buldog cygański skoczył ku jego zbawcy, rzucił się naprzód i uwiesił się u szyji swego nieprzyjaciela, wpijając w nią wszystkie swe zęby i pazury trzech zdrowych łap. Buldog jęknął boleśnie i, usiłując się oswobodzić od szarpiącego go pieska, zatrzymał się — wtedy Janek, korzystając z chwili, chwycił za drzewko w pobliżu stojące, złamał je i właśnie zamierzał tym kijem uderzyć z całej siły w łeb buldoga, gdy nagle na skraju polanki ukazała się głowa tego samego cygana, który bił Cyngę. W tymże momencie buldog zdołał się oswobodzić od bohaterskiego pieska i rzuciwszy go na ziemię, rozszarpywał z wściekłością. Janek widział jeszcze oczy biednego pieska, zachodzące mgłą i wlepione w niego żałośnie — ale nie było czasu o tem myśleć. Cygan stał już na polance z batogiem w ręku i strasznym, dzikim wzrokiem spoglądał na Janka.

Ten zdjęty śmiertelnym przestrachem, rzucił się w gąszcze i począł uciekać jak szalony. Niestety! zobaczył wkrótce, że niema dla niego ratunku. O kilka kroków od miejsca jego spoczynku gąszcze się kończyły, a zaczynał się stary las, a w tym lesie wprost uciekającego Janka stał na swym koniu Romno, inni cyganie, kobiety i dzieci. Chłopiec był ze wszech stron obsaczony, jak dziki zwierz w swem legowisku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O zwyciężonym topielcu.

Słońce tego dnia inaczej ogrzało okna chaty starego Grzegorza. Odrazu zrobiło się wszystkim bardzo wesoło i raźno na sercu. Z tej ogromnej wesołości mało kto w izbie chciał dosiedzieć, a każdego coś ciągło w pole. Nie dziw — że od rana drzwi skrzypiały jak na jakiem weselu. Kto zaś wracał do izby, rzucał od proga **nowinę:**

Wiosna!

A przecież wszyscy o tem dobrze wiedzieli.

Dzieci pobiegły szukać pierwiosnków. Chata starego Grzegorza opustoszała.

Właściwie należała ona już nie do starego, lecz do młodego, tradycyjnie — także Grzegorza. Obaj Grzegorze — ojciec i syn — w niej mieszkali, lecz żadnemu nie było ciasno. Gdy młodemu przybyła żona i dzieci — chata nie zraziła się tem bynajmniej. Owszem — jakby wzrosła na ambicji, że tak wielkie zaufanie ludzie do niej mają. Dokładała zatem starań, aby każdemu pod jej dachem było dobrze, aby każdy czuł się szczęśliwym. Latem, czy zimą — zawsze.

Ziemia miękła w roztopie słonecznych promieni. Równocześnie drżała wskutek jakowychś przemian, zachodzących w jej tajemniczem wnętrzu. Czuły to dzieci, uganiając po łące za kwiatami. Czuły to kwiatki, które gdzieniegdzie wychylały swe uśmiechnięte korony, wołające radosnem spojrzeniem ku słońcu i dzieciom:

My także pobiegać chcemy... z wami... my także!...

Niepamiętne na nic, dzieci oddalały się coraz bardziej od domu. Zieleń łąki, kwiaty, blaski słoneczne, oraz to ciekawe drżenie ziemi, nakryte wibrem pachnącego powietrza, — że dzieci, nie wiedzieć kiedy, znalazły się nad rzeką. Tu oprzytomniały.

Spieniony Dunajec rwał, pędził zawrotne wiry, grzmiał, huczał, zagłuszając wszelkie inne dźwięki rozbudzonej wiosną natury.

Józek urwał pręt z nadbrzeżnej wikliny i zaczął go wpychać do wody, chcąc zbadać głębokość rzeki. Silny prąd złapał tę igraszkę, pochwycił, wyrwał z rąk chłopca, i uniósł na swym wyginającym się grzbiecie.

Młodsza siostra, Zosia, widząc brata tak blisko rozhukanej rzeki, zatrwożyła się do tego stopnia, że aż jej kwiaty z rąk wypadły.

— Józek!... gdzie ty jesteś!... Józek!... bo opowiem mamie...

Z płaczem pobiegła do domu. Józek za nią.

— Zośka... gdzie tak pędzisz?... Zośka!...

Nie oglądając się, rwała co sił w nogach. Zdawało się jej, że to nie głos brata, ale szum wezbranych wód Dunajca pędzi za nią. Już — już... a pochwyci ją wściekły prąd i uniesie w topiel okrutną. Na szczęście dopadła drzwi. Teraz jest bezpieczną, niczego się już bać nie potrzebuje.

Teraz jednym tchem zaczyna opowiadać, jakie okropności widziała. Rzeka... o jej, jaka rzeka!... Nigdy takiej nie widziała. A Józek wnetby się utopił... prawie, że się już topił, że tylko... Straszna rzeka. Więcej nie może nic powiedzieć. Józek śmieje się z tego w całe gardło. Ona w płacz. Wtem przypomniała sobie, że wszystkie nazbierane kwiaty pogubiła. Jeszcze ją większa żałość zbiera. Takie śliczne pierwiosnki!... takie bieluśkie zawilce!... Wszystkiemu winien Józek... albo rzeka... Albo, tak będzie najlepiej, że Józek i rzeka razem.

Matka tymczasem upomina chłopaka:

— Ino ty się zbliżaj do wody!... Złapi cię topielec, wciągnie, że ani się obejrzysz, jak po tobie śladu — znaku...

— Topielec?

Zośka przestała płakać. Obydwoje zaczęli matkę molestować, aby im wytłomaczyła, co to za stwór ten topielec.

— Taki co żyje w wodzie i ludzi topi.

Dzieci oniemiały ze zdumienia. Po chwili Józek zapytał się:

— Mamo... a jak on wygląda?

— Dałybyście mi spokój... Widzicie, że teraz niema czasu na gadanie... Wiosna.

— Mamo!... powiedźcież!...

— Idźcie do dziadka.

Niechętnie poszły szukać starego Grzegorza, tłumiąc w sobie wielki żal do wiosny: gdyby nie ona, mama opowiedziałaby im wszystko o topielcu. A tak — któż wie, czy dziadek zna lub czy słyszał coś o topielcu.

II.

Wieczorem taką ciągnął stary Grzegorz opowieść:

— Było to temu lat... czekajcież, niechże sobie wspomnę...

— Dziaduś, nam nie chodzi o lata, tylko o topielca — przerwał pokornie Józek.

— Ano, niech se będzie kiedy chce, dość, że tak było. W jednem miejscu na rzece wciąż coś ludzi topiło. Nie było roku, żeby ktoś nie poszedł pod wodę. Czasami, jak się rozeźliło, to nawet konia z wozem i ze wszystkiem wciągało. Ludzie mówili, że nic innego tylko topielec tam być musi. Z takim trudno sobie poradzić. Kto miał przy sobie grudkę ornej ziemi, lub bat, święcony w palmową niedzielę, ten mógł się ognać. Wystarczy rzucić w topielca ową grudkę, lub batem świsnąć trzy razy — a ma się spokój. Lecz ludzie, wracając z jarmarku, zazwyczaj podchmieleni „rozgrzewką", zapominali o wszystkiem. Dopiero jak ich obłapiło na rzece — mostu wtedy nigdzie blisko nie było — jak zaczęło wóz zbierać a koniom zalewać uszy, wtedy strach, krzyk i lamentacje. Kto wyszedł cało, miał dość do opowiadania o zdradzieckich figlach topielca. Widziało się niejednemu, że w tem miejscu rzeka najpłytsza, aż tu buch!... bania — topielisko... woda koniom sięga po pas, zaś co krok — jeszcze głębiej. Ani się jak cofnąć, ani ominąć.

Te niemiłe żarty dały się ludziom porządnie we znaki. Starzy i młodzi zaczęli się naradzać, jakby się od tych nieszczęść uwolnić. Ktoś wspomniał, że jest w górach „taki", co topielcowi potrafi zaradzić.

Posłali po niego.

Gdy przyszedł, opasał się święconym batem, takim — co jeszcze ani razu nie zmókł na deszczu, potem kazał się zaprowadzić nad rzekę i wpuścić w ową topiel.

Jakoż, gdy znalazł się na dnie, stanął przed drzwiami ogromnego pałacu. Nie namyślając się wiele, wszedł do środka. Tam siedziało przy stole potworne człeczysko, z siwiuteńką i długą aż do stóp brodą, chlupiąc z ogromnego dzbana jakiś napój o przykrej i odurzającej woni. Przybyły chwycił topielca za brodę, owinął ją sobie parę razy koło ręki, poczem zaczął ciągnąć ku wyjściu. Gdy znalazł się za drzwiami, szarpnął za sznurek, którego koniec trzymali chłopi, stojący nad brzegiem rzeki. Ci uczuwszy szarpnięcie, zaczęli ciągnąć. Namozolili się niemało, ale wkońcu wyciągli. Potem zawlekli na orne pole, ściągnęli bat święcony i jak nie zaczną nim topielca okładać, że ten aż pazury wydzierał sobie z bólu. Wkońcu na kolanach zaczął błagać i przyrzekać, że już nigdy więcej w tem miejscu nie będzie ludzi napastował. Wtedy go puścili.

— A czemu to zawlekli na orne pole? — zapytał Józek.

— Bo tam złe siły tracą swą władzę.

— Tak wygląda, jakby ziemia była jakąś świętością...

— Większą jest, niż sądzisz — odparł poważnie stary Grzegorz. — Gdy będziesz w tym wieku co ja, gdy staniesz się świadkiem cudu niejednej wiosny, wtedy przyznasz mi rację.

Chłopak zamilkł, zastanawiając się nad słowami dziadka. Chwilę ciszy przerwała niecierpliwa Zośka.

— A co z topielcem?... Dziadku mówcie dalej...

— Od tego czasu ucichło o nim. Pasznął w wodę i tyle go ludzie widzieli.

— Nie musiał być z tych najgorszych, bo dotrzymał słowa — mądrze zawyrokował Józek.

— Tak, dotrzymał... zwłaszcza, że drugi rok zbudowano w tem miejscu silny betonowy most.

Wład. Wosnak.



Przestrogi.

Nie słuchaj dziewczę hoże
Pieśni, co ptaszek nuci,
Zimą pójdzie za morze
I może już nie wróci.

Unikaj wieczór światła,
Nie wierz, co serce gada.
Miesiączek figle płata...
A w mowie serca zdrada.

Nie słuchaj dziewczę pieśni,
Co smętne echa budzą;
Tobie się smutek nie śni,
Te piosnki cię zanudzą

Niech oczka blaski zduszą:
Zawiodą cię do zguby!
Lecz za to całą duszą
Słuchaj, co mówi luby!

K. Filareta.

BORUTA, DJABEŁ ŁĘCZYCKI.

II.

Po przygodzie z Siwym, opisanej w poprzednim numerze „Roli“ Boruta nieco zmądrzał. Spostrzegł, że skarby tak niedbale porozrzucane po lochu mogą



Boruta latami przesiadywał na beczce.

się stać znowu łupem jakiegoś śmiałka, a choć wiedział, że je i tak czy wcześniej, czy później odbierze, to przecież nie chciał narażać się na daremną pracę, jakiejby mu przysporzyło znoszenie powrotne złota i srebra do lochów. Aby tego uniknąć, postarał się o kilka beczek, w których skarby swoje umieścił. Sam też porzucił postać sowy, która mogła niezbyt wydawać się straszną dla napastnika, a natomiast przybrał wygląd wąsatego szlachcica. Ubrał się w karmazynowy żupan, opasał pasem złotolitym, powiesił potężne szablisko na rzemyku. A jego rogatywka z siwym barankiem nieco mu zawadzała, bo małe rożki, wyglądające z pod niej, nie pozwalały na lepsze umieszczenie jej na głowie.

Twarz rumiana, potężny obwisły wąs, szerokie plecy, i oczy iskrzące, mogły już same odstraszyć każdego śmiałka, któryby się był teraz odważył zaglądnąć po skarby Boruty.

Ale nikomu nie przychodziła chęć odwiedzenia podziemi i pokuszenia się o djabelskie skarby. To też Boruta latami przesiadywał na beczce napełnionej złotem, pociągał z beczki stare wino węgierskie, którego miał od lat wielu dostateczny zapas i nudził się serdecznie przy swoich skarbach.

Kiedy jednak spostrzegł, że zapasy wina są już na dokończeniu, przeciągnął się Boruta, że aż całe podziemie zadrżało i rzekł:

— Dość już wysiedziałem się w tem loszysku ciemnem i wilgotnem; niema co i pić dalej, ostatni antałek węgrzyna za chwilę wysączę... Zresztą myślę, że nikt się teraz nie poważy zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu tęskno i nudno. Sto lat siedzę na jednem miejscu, gdzie zawsze ciemno, chłodno i ponuro, a na świecie słonko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają, muzyka gra, a szlachta rada ucztuje. Nie! W takich warunkach i djabeł nawet długo nie wytrzyma!

Najgorzej tylko zacząć o czem myśleć, a myśl ta wówczas nie opuszcza człowieka, a cóż dopiero samotnego djabła. Myślał i myślał, ubolewając nad swoją samotnością, a zazdroszcząc ludziom, którzy tam na powierzchni ziemi żyli i bawili się. Aż wkońcu miał już tego myślenia dość.

— Hulaj dusza bez kontusza — zawołał rozradowany. — Zamknę loch i przejdę się po świecie; trzeba jeno ubioru nieco poprawić, aby dobrze przyjęto gościa.

Jak powiedział, tak i zrobił. Policzywszy dobrze beczki ze skarbami, niektóre z nich dokładniej zakorkował, poczem wydostał się z lochu na powierzchnię ziemi. Słońce co dopiero schowało się za pobliski las i zmierzch zaczął zapadać. Boruta odetchnął całą piersią świeżem powietrzem, wyprostował skurczone członki i radował się swobodą, jaka go otaczała.

Choć był przywykły do samotności, teraz, kiedy się znalazł na powierzchni ziemi zaczynała ona mu ciążyć. Postanowił poszukać towarzystwa. Natężał swe potężne uszy i począł słuchać. Jakoż po chwili doszedł go oddalony odgłos muzyki. Poruszył radośnie ogonem ukrytym w obszernych szarawarach i skierował się w tę stronę, skąd odgłos muzyki dochodził.

Przebiegał bagna i jeziora po powierzchni wody, aż dotarł do dworku szlachcica Kaliny, położonego o kilka mil od Łęczycy, który najstarszą córkę wydawał za mąż. Ćma krewniaków i sąsiadów napełniła całe domostwo; beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na ganku i w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic, dobył woru z zapleśniałemi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość.



Rozdziawił paszczę i łykał napój.

Muzyka grała od ucha, a zebrani radowali się, bo nie często trafia się zabawić, podjeść i popić za cudze pieniądze.

Już, jak to powiedzieliśmy wyżej, było dobrze z wieczora, kiedy wytoczono dzieże od chleba, aby na niej pannę młodą oczepić i muzyka zaczęła grać starą pieśń o chmielu, gdy w drzwiach stanął nowy gość, zupełnie niespodziewany.

Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapka rogatywka z siwym barankiem, na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnemi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe sobą zawalił, jak kichnął wszystkie światła w całem domostwie pogasły.

Zapalono je ponownie, a nieznany gość, nie zdejmując czapki, poszedł dalej i usiadł na ławie.

Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta.

Gospodarz ujrzawszy na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznajomego przybysza i rzekł:

— Panie bracie! zawsze możecie u mnie jeść chleb z solą, byle z dobrą wolą; ale na teraz nie prosiłem waszeci.... więc...

I wskazał drzwi otwarte.

Nieznajomy pokręcił głową na znak, że nie wyjdzie, poczem wybąknął od niechcenia:

— Pić!

Pan Kalina, nie chcąc narazie szukać zaczepki z przybyszem, kazał mu podać gąsior z miodem i czarę, ale nieznajomy czarę rzucił na ziemię, przytknął do ust gąsior i wypił go do kropli.

Spodobało się to szlachcie ogromnie, poczęła się więc cisnąć do niego, a ściskać go i wołać:

— To nasz brat! To nasz brat!

Nieznajomy uśmiechnął się wesoło, podkręcił wąsy w górę i aż je za uszy założył, a widząc beczkę miodu, porwał ją, postawił na stole, czop wyrzucił, rozdziawił paszcze i począł łykać strumień napoju z szumem tryskający:

Wszyscy z podziwem otoczyli wieńcem nieznajomego, niewiasty i panny postawały na stole i ławach, patrząc na pijaka.

Nieznajomy łykał, sapiąc tylko nosem. Wkrótce uniósł beczkę, potem dobrze ją przechylił, aż wkońcu cisnął ją w kąt zupełnie opróżnioną z słodkiego płynu.

Odezwały się ogólne brawa, a nieznajomy, otarłszy z piany usta i brodę, krzyknął:

— Kapela! Chmiela!

Dokończenie nastąpi).

Na jubileusz Ferdynanda Kurasia.

Ferdynandowi Kurasiowi celem uczczenia trzydziestoletniej pracy poetyckiej.

Trzydzieści lat pracy Ferdynanda Kurasia było długim etapem ciężkich walk i przejść życiowych. Gdy naród polski uciskały kajdany, gdy lud jęczał pod naporem przemożnej siły trzech zaborców, wtedy Kuraś wyśpiewywał przepiękne wiersze i podawał je, jako karmę duchową strapionym i w smutku pogrążonym umysłom polskim.... Bije z tych utworów silna, męska energja, która siłą porywa czytelnika. Potrafił Kuraś wniknąć w najdrobniejsze szczegóły chłopa polskiego, poznał jego wady i zalety, ocenił je i w wierszach potomności przekazał... Nadewszystko ukochał ziemię rodzinną i poświęcił jej piękny wiersz p. t.: „Kochaj bracie swoją ziemię“. Wiersz ten kończy się następująco:

„Znać ci wolno ziemię inną, Lecz miłować masz rodzinną, Krwią i znojem ojców żyzną, Bo ta jedna twą — Ojczyzną!“.

Celem poznania twórczości Kurasia pozwolę sobie przytoczyć kilka wyjątków z jego utworów: W wierszu p. t. „Wiarę mi daj Panie!“ pisze: „Daj mi, o Panie, wiarę tę potężną, Coby mi była przeciw troskom płodnym, Gdy mi do duszy szturmują, orężną Bronią — lecz bronią z skutkiem niezawodnym, Bym walcząc w imię szlachetnych idei, Trafił do celu życiowych nadziei!“

W innym wierszu poeta odzywa się do ludu: „Hej ludu, ty polski! Czyliż tak bez końca, Bez jutra nadziei, bez światła, bez słońca, I potem i łzami zroszone obficie Będziemy zmuszeni prowadzić swe życie? — Hej ludu! raz przecież przestań być ospałym, Rozglądnij się śmielej po kraju swym całym“.

W innym wreszcie wierszu poeta wypowiada uczucia, z których przebija się uparta, szczera siła chłopa polskiego: „Skąd się w chłopie tęgość bierze! Nas nie spędzą z pola burze, Piorunami grzmiące w chmurze, Za wodami Z żywiołami Chłop nabiera sił. Stąd to w chłopie duszy stałość, Siła woli i wytrwałość, Że od wschodu Do zachodu Wierny słonku był.

W jedną całość ujęte wiersze Kurasia są hymnem na cześć ukochanej Ojczyzny. Dodać należy, że poeta jest już od wczesnej młodości dotknięty upośledzeniem fizycznem, gdyż w zaraniu budzącej się u niego twórczości utracił słuch.

W jednym ze swych wierszy p. t. „Prośba“ błaga Boga o przywrócenie mu słuchu: „Niechbym usłyszał Wisły szemranie I one szumy bujnej zbożem niwy, Głosik na niebie i fujarek granie, A czuł się będę nad wyraz szczęśliwy“.

Wiersz kończy się następującą zwrotką: „Lecz jeśli takie już me przeznaczenie, Bym trwał w tym stanie do końca na ziemi, Daj mi, o Matko! oglądać zbawienie, Ojczyznę wolną oczyma żywemi!“...

Po długich latach męki, niewoli, po krwi obficie przelanej ujrzał oczyma żywemi kochany poeta ludowy wolną Ojczyznę, a więcej jeszcze — gdyż obchodzono niedawno dziesięciolecie Polski Niepodległej, więc radość wielka to dla tych, co w tajgach Sybiru jęczeli, co dla Polski upragnionej życie i mienie ofiarowali, byle tylko wolną była....

W wolnej Polsce jest lud dopuszczony do urzędów, ma możność w Sejmie bronić swoich praw, powstał z uśpienia i garnie się ku oświacie. Wyrósł młody zastęp poetów ludowych i pisarzy, którzy talenty swe poświęcają ludowi celem uprzyjemnienia mu wolnych chwil, oraz wskazania, jaką korzyść można osiągnąć z oświaty...

Sam czcigodny Jubilat milczy, nie odzywa się teraz w żadnem piśmie, śmiemy wnioskować, że to chwilowa przerwa, aby tem łacniej pozwolić zapłonąć potężnemu talentowi...

Dziś z okazji trzydziestolecia pracy życzymy kochanemu poecie i serdecznemu patrjocie, aby dożył setnych lat, by się cieszył długo jeszcze odzyskaną Ojczyzną i napisał jeszcze coś, coby świat z posad wzruszyło.

Niech żyje Ferdynand Kuraś, poeta ludowy!

Maryla „Widz“.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Polowanie na gazelle.

Hauran, dziś tak mało znany zakątek ziemi, pod każdym względem zasługuje na to, ażeby nań nasi Czytelnicy zwrócili uwagę. Taż to ziemia uświęcona jest przez patrjarchów Starego Zakonu i graniczy z Palestyną tak zawsze drogą dla każdego chrześcijanina.



Sokolnik-Druz przed polowaniem.

Hauran zamieszkują muzułmanie, ludy koczownicze, jak Beduini, Druzowie, Metualisowie, Czerkiesi i chrześcijanie rozmaitych wyznań. Jedni prowadzą tu życie koczownicze, inni są rolnikami, pasterzami zależnymi lub niepodległymi. Wielu z nich trudni się też łowami.

W Hauranie istnieje pewien oryginalny rodzaj łowów. Jest to polowanie pantery na gazele, odbywające się w następujący sposób: Przedewszystkiem chodzi tu o zdobycie gazell żywych i i nieskaleczonych. Pantera, mająca polować, jest już odpowiednio wytresowana, złapano ją bowiem i oswojono, gdy była jeszcze małą. Nigdy się jej nie daje surowego mięsa, bo gdyby raz zakosztowała krwi, stałaby się dziką i na nic niezdatną, gdyż pożerałaby gazelle. Skoro krajowcy spostrzegą stado gazell w jakiej miejscowości, wówczas wsadzają panterę do klatki umieszczonej na grzbiecie wielbłąda i łowy się rozpoczynają. Wielbłąd otwiera pochód, za nim zaś w jak największej ciszy postępują myśliwi. Tymczasem pantera z swego obserwatorjum rozgląda się po okolicy i wkrótce zaczyna niecierpliwie wywijać ogonem, co jest oznaką, że dostrzegła swoją zwierzynę. Wówczas wielbłąd przyklęka, pantera zaś wypuszczona z klatki rozpoczyna polowanie powoli i ostrożnie. Idzie powoli, zatrzymuje się i nadsłuchuje, i w miarę zbliżania się do gazell podwaja usiłowań, aby najmniejszego nie sprawić szelestu. Skoro gazella zwróci się w jej stronę tak, że może ją dostrzedz, wówczas pantera staje nieruchoma, podobna do szarego głazu... Myśliwi postępują za nią w pewnej odległości, aby jej nie przeszkadzać. Wkrótce pantera znajduje się o parę kroków od swoich ofiar, rzuca się na nie gwałtownie, wymierza łapą jeden cios w prawo, drugi w lewo, obala kilka ogłuszonych gazell, reszta zaś stada umyka. Wprzód jednak nim pantera podąży w ich ślady, przybiegają myśliwi i wsadzają ją do klatki. Gazelle zaś, nie mogąc jeszcze ochłonąć z przerażenia, zostają również zabrane do klatek. Niezbędnym warunkiem powodzenia tych łowów jest nie dać panterze czasu do ugryzienia zwierzyny, gdyż w takim razie na następnem polowaniu uczepiłaby się jednej gazelli i rozszarpałaby ją w kawałki.

Na gazelle polują również z sokołem, a takiego myśliwego, wybierającego się na łowy widzimy właśnie na naszym obrazku. Siedzi na ognistym rumaku, przystrojonym wstążkami i świecidełkami. Na lewej dłoni trzyma sokoła, którego wrazie potrzeby oswobodzi, aby szybkim swoim lotem dopędził upatrzoną gazellę i zadał jej śmierć swym ostrym dziubem. Obok czekają na wyruszenie na łowy dwa psy gończe, uwiązane na smyczy. Postać samego Druza jest okazała i majestatyczna. Wygląda, jakby król i pan stepów, boć i jest nim w rzeczywistości.

Drugi obrazek uwidacznia nam już samo polowanie. Myśliwi zoczyli gazelle. W tej chwili sokolnik zwalnia z uwięzi sokoła i wypuszcza go w powietrze. Zwalniają też psy ze smyczy. Sokół szybkim lotem wzbija się w powietrze, a zoczywszy swą ofiarę, zatacza ponad nią kilka okrążeń i potem, jak strzała



Polowanie w Hauranie na gazelle.

uderza na nią z góry. A uderza tak, aby usiąść na głowie. Ostre swe szpony zatapia w ciało nieszczęśliwej ofiary, a dziobem kłuje po oczach, aby ją corychlej pozbawić wzroku. W ślad za sokołem pędzą psy gończe, których zadaniem jest niewypuszczenie zdobyczy na dalszą odległość, w której mogłaby zniknąć przed wzrokiem myśliwego. Za psami pędzą jeźdźcy. Gdy dopadną biednego czworonoga, los gazelli już jest przesądzony.

A teraz jeszcze słówko o Hauranie. Niegdyś był to kraj nietylko piękny, ale i zamożny, dzisiaj doznaje się tam smutnego wrażenia. Są tam setki miast, ale po największej części zniszczone, a często nawet bezludne, których jednak ruiny świadczą o dawnej zamożności i cywilizacji. Wszędzie zwaliska i ruiny, porosłe mchem, z pod którego jednak wyglądają wspaniałe galerje, kolumny, pałace i domy z ciosowego kamienia, przyozdobione w bardzo misterne rzeźby i napisy greckie.

Upadek Hauranu datuje się od chwili, kiedy się tam umocnili muzułmanie i wszystkiem zawładnęli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MACIEK BZDURA GADA:

Skończyło się kopanie zimiaków, skończyło sianie i oranie, a choć tam tego wiele nie było, ale się skończyło, przysły długie jesienne wiecory i cłek ni ma w nic co ze sobą zrobić. Z pocątku przed jadwientem, tom ta jakie ze dwie godzinki co wiecór w portcętach pchły łapał, ale teraz, kiedy się zrobiło zimniej, to i ta robota odpadła, bo te pchle stworzenia mają takze swój rozum i jak pocuły u mnie jesienne przeciągi, tak wszyćkie wywędrowały do Kaśki lub gospodyni, bo wiadomo jem przecie było, ze tam znajdą więcej gorącości i prędzej będą się miały gdzie schować. Bo u baby jest przecie wszędzie tyle zakamarków, o jakich ani się chłopu nie śniło.

Kiedym się tak trapił, co ze sobą w te długie wiecory jesienne i zimowe zrobić, przysła mi myśl scęśliwa, aby pójść do jegomości i poradzić się, co mam robić. Wiadomo przecie, ze jegomość to cłek nietylko ucony, ale i rozumny i pono, jak powiada Grzela Podkulek, mają oni rozum nietylko w głowie, ale nawet w kuzdem palcu i w całem sobie. A jak jem go casem braknie, to się pomodlą i juz rozum jest.

Jagem se pomyślał, tagem i zrobił. Idę więc do jegomości w niedzielę po niesporach. Jegomość chodzili se w takiej długiej carnej kosuli po takiej wielgaśnej izbie, coby w niej koniami nawrócił. Na ziemi lezały porozciągane różne derki. Jedne były wązkie a długie, a inkse krótkie, ale syrokie takie, zeby kuzdą styry konie pzykrył. Jegomość, jak powiedziałem, byli ubrani w taką długą carną kosulę, cy katanę, a na nosie mieli drugie ocy w złociusieńkiej oprawie.

Jak mnie zuźreli, tak powiadają:

— Dzień dobry, Macieju! A cóż cię sprowadza?

— Ha, prosę jegomości — powiadam — bida...

— Co znowu — jegomość na to — pan Maciej taki człowiek hadukowany i bida? Ktoby to powiedział!

— Otóz to właśnie — ja znowu — ze hadukowany, bo jagbym był taki, jako wielu inksych, bez oleju w głowie, tobym se pozar ućciwie, cisnął się na wyrko i spał od zachodu słonka do jego wschodu. Ale ze ta rozumu mi nie brak, tom przysed do jesce mądrzejsego, aby się poradzić, co robić.

Jegomość zdjęli ocy z nosa, otarli je gagutkiem i pocęli urocyście na mnie patrzyć. Bo jegomość, jak przystało na poświęconą osobę, zawse i na wszyćko patrzą urocyście.

Tak ja tedy podrapałem się za ucho, wysiąkałem nos, jak się patrzy, pokłoniłem się pięknie do ziemi, bo przecie wiem, ze grzecnem trzeba być zawse i tak padam do jegomości:

— A no, prosę jegomości, taka zmenda przychodzi na mnie w te długaśne wiecory, ze juz nie wiada, co mam ze sobą zrobić. Jak tak dalej pójdzie, to moze przyjść do najwięksego niescęścia i będę się musiał ozenić.

Zacęli się jegomość śmiać tak, ze juz jem bandzioch pod sam nos podlatował, co mnie trochę nawet obraziło, bo wiadomo, ze jegomości na kazanicy i przy łuntarzu to wszyćko wolno, ale śmiać się w chałpie i do tego z rodzącego gościa to nawet jegomości nie uchodzi. Ale pomyślałem se, ze jak jem to ma wyjść na zdrowie, to niech się śmieją i do dnia sądnego.

Za małą godzinkę przestali się jegomość śmiać i tak powiadają do mnie:

— Powiadas, bidaku, ześ hadukowany i ze swój rozum mas! A ja ci powiadam, ześ głupi, jak but z lewy nogi. Cyś ty widział mądrego człowieka, coby się zenił?

— Oho! — powiadam — Coby nie! A prefesur, a organista, a wójt, a tylu inksych. Przecie chyba nikt jem rozumu nie zaprzycy?

— I ja jem go nie zaprzecam, ale to ci trza wiedzieć, ze oni zmądrzeli dopiro potem, ale było juz zapóźno. A choć i przedtem był który z nich niegłupi, to na samą chwilę zeniacki do cna zgłupiał. Nie powiadam ja, ze jak się babę zobacy, to tak trudno zgłupieć, bo kuzda baba ma cosik takiego w sobie, ze potrafi nawet najmądrzejsego cłeka rozumu pozbawić. Nie na zawse, ale pozbawi go choćby na taki cas, aby mogła śnim zrobić, co ino sama zechce.

— To powiadacie, ze lepiej bez baby?

— To się wie! Przeciem nie zeniaty, to wiem, co i jak. A jak i ty chces się dowiedzieć, to przejdźmy wszyćko po koleji, a przekonas się, że prawdę gadam. Weźmy takie jedzenie. Jageś jest kawalerem tak, jak nim, chwała Bogu, ja jestem, to mas jedzenie, jakie chces. Zachce ci się klusek, kazes se ich ugdysić i mozes jeść, ile i kiedy zechces. Uwidzą ci się pirogi, mozes mieć pirogi choćby co drugi dzień. A zeniaty musi to wsuwać, co mu jego połowica ugdysi. A z ubraniem to takze nie inacej. Kawaler to se moze i codzień świze portki przewdziwać, a zeniatemu baba nie pozwoli na to ani raz na miesiąc, bo się potem prać nie chce. A i ze spaniem nie inacej. Kawaler, jak się połozy, to moze spać, dopóki się mu zechce. A zeniaty ino ślipia zmruzy, to go baba ciągnie to za to, to za tamto, bo powiada, ze się jej przykrzy tak bezcynnie lezeć. Widzis więc sam, jakie to korzyści z kawalerskiego stanu.

Cozem miał pedzieć, kiedym widział, ze jegomość świętą prawdę powiadali, alem się jesce zapytał:

— A cy jegomość latego się nie zenią, ze jem nie wolno, cy latego, ze nie chcą.

— Wis, Maciuś, powiem ci scyrze. Człek zawse jest człekiem i kiedy nawet święci dawali się djabłowi skusić, to nie wiadomo, coby tam było, zwłasca ze kuzda baba to jesce przebieglejsa od samego djabła. Ale ja juz w młodości miałem swój rozum i na wieki wieków od bab się wyprzysiągłem. I teraz choćbym nawet casem chciał, to juz nie mogę. A jak taka pokusa minie, tom kontentny, ze tak jest, jak jest.

— Ale co wobec tego w te długie wiecory robić?

— A widzis! Powiadas, ześ mądry, a głupi jesteś. Jakbyś był mądry, tobyś wiedział, ze tyle jest rzecy, przy których mozna pozytecnie cas spędzić. Kupiłbyś se książkę, zapisał gazetę i cytałbyś wiecorami. A cytanie, to takze rozmowa, ale rozmowa człowieka nie z jedną głupią babą, ale z całym światemi z wszyćkiemi ludźmi, jacy na nim są.

Podziękowałem jegomości i zaraz jesce w sieni wyrzekłem się wszyćkich bab do samego końca roku.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XLIV.

Szlachetny czyn.

W Wiedniu nędza doszła do najwyższego stopnia. Miasto już ani tygodnia utrzymać się nie mogło, bo żywność była wyczerpana.



Sassa opuszcza obóz turecki.

Sassa zaczęła się zastanawiać, co możnaby było uczynić, ażeby zapobiedz grożącemu niebezpieczeństwu i cierpieniom oblężonych położyć koniec. Był tylko jeden środek ratunku, przybycie króla Sobieskiego i jego sprzymierzeńców. On tylko mógł Wiedeń ocalić.

Powzięła zatem bohaterskie postanowienie i nie zwlekała ani chwili z jego wykonaniem.

Pojechała do gmachu rządowego i udała się do hr. Stahremberga, który ją powitał z stroskaną twarzą.

— Przychodzę tutaj, — rzekła, — ażeby pana zawiadomić o pewnem postanowieniu, które właśnie powzięłam, — rzekła, — i które zaraz muszę wykonać. Nasi posłańcy, jak się zdaje, nie dostali się do króla Sobieskiego, a przecież tylko on może podać pomoc oblężonym. Gdyby wiedział ile cierpią mieszkańcy, byłby tu już oddawna, a dzielność jego zastąpiłaby brakującą ilość wojska.

— Pozwól więc panie, żebym ja spróbowała go zawiadomić.

— Księżna pani chciałaby...

— Postanowiłam udać się do króla polskiego i wezwać go!

— Na to nie mogę pozwolić, mościa księżno! — odpowiedział Stahremberg, — niebezpieczeństwo zbyt wielkie! Turcy nie oszczędzają nikogo.

— Czy pan hrabia myśli, że się cofnę przed niebezpieczeństwem? — zapytała Sassa, — idzie tu o ocalenie Wiednia i jego nieszczęśliwych mieszkańców. Jestem przekonana, że król Sobieski poda pomoc skuteczną i miałabym się wahać bodaj przez chwilę ze spełnieniem swego zamiaru? Nie, nie, panie hrabio! Moje postanowienie jest niezłomne.

— Szlachetny to czyn, mościa księżno, lecz lękam się o panią!

— Trzeba spróbować. Jestem wdową, po rosyjskim księciu. Jeżeli Turcy mnie przepuszczą, to plan mój się uda.

— Podziwiam wspaniałomyślne postanowienie księżnej pani! — rzekł hr. Stahremberg, — ta nowa ofiara przewyższa wszystkie poprzednie!

— Daj Boże, żeby mój plan się powiódł! — mówiła Sassa dalej z zapałem, — idzie tu o oddanie usługi wielkiej, wspaniałej sprawie! Za kilka dni wszystko byłoby straconem! Tego dopuścić nie można! Trzeba z tych dni korzystać. Jeszcze można ocalić Wiedeń i jego uciśnionych mieszkańców! Jeszcze pomoc nie przybędzie zapóźno!

— Niebo niech błogosławi księżnę panią za to postanowienie, — rzekł hrabia Stahremberg.

— Żegnam pana! Jeżeli do wieczora nie powrócę do miasta, będzie to znakiem, że mi się powiodło przejechać za linję. Obwieść pan wówczas mieszkańcom miasta, że nie potrzebują rozpaczać, że odsiecz nadchodzi, — zakończyła Sassa rozmowę, — liczę na pomoc i opiekę Boga! A chlubnem byłoby dla mnie, gdybym chcąc ocalić miasto śmierć poniosła!

Księżna wyszła z pokoju.

Sassa wsiadła do powozu i w towarzystwie tylko jednego służącego i jednej służącej puściła się w niebezpieczną drogę.

Warta otworzyła bramę i przepuściła powóz.

W ciągu kilku godzin miało się wszystko rozstrzygnąć.

Gdy wiadomość o wyjeździe księżnej rozeszła się po mieście, bardzo wielkie było narzekanie i boleść. Następnie jednak ogłoszono, że księżna stara się sprowadzić odsiecz, napełniły się więc kościoły mieszkańcami, błagającymi nieba o powodzenie dla jej zamiarów.

Podróż do linij nieprzjacielskich nie trwała długo. Wkrótce powóz otoczyli żołnierze tureccy, mając dość wyraźną ochotę zamordować i zrabować księżnę. Nadjechał jednak oficer i uwolnił księżnę i jej służbę z niebezpieczeństwa. Sassa zwróciła się do niego z prośbą o przepuszczenie przez linje. Oficer wzruszył ramionami, oświadczył, że o tem decydować nie może i prosił jej, żeby zaczekała. Udał się do jednego z podkomendnych dowódzców i powtórzył mu prośbę rosyjskiej księżnej. Basza oświadczył, że musi zażądać decyzji wielkiego wezyra.

Tymczasem godziny upływały, a Sassa z niecierpliwością czekała w powozie wśród nieprzyjacielskie-

go obozu. Gdy basza oznajmił wielkiemu wezyrowi, że wdowa po rosyjskim księciu przybyła do obozu, pragnąc opuścić miasto, wielki wezyr oświadczył, że pragnie z carem pozostać w zgodzie i kazał przepuścić księżnę.

Było już blizko wieczoru, gdy basza wreszcie przystąpił do powozu i oznajmił Sassie decyzję wielkiego wezyra. Odetchnęła... dopięła celu! Podziękowawszy baszy za tę wiadomość, Sassa odjechała w towarzystwie oficera, którego jej dodano, ażeby ją przeprowadził przez obóz. Powóz jechał powoli pomiędzy przekopami oblężniczemi i musiał dosyć dużo nakładać drogi, omijając fortyfikacje.

Późnym wieczorem dopiero Sassa wyjechała z obozu. Trzeba było jednakże przebyć placówki zewnętrzne, do których oficer musiał dowieść powóz, ażeby go przepuszczono. Ostatnia przeszkoda została również pokonaną szczęśliwie. Placówki przepuściły powóz.

Sassa teraz mogła się puścić drogą, którą nadciągali Polacy i sprzymierzeńcy. Wydała ona rozkaz woźnicy, ażeby zwrócił się w tę stronę i jechał o ile podobna było najprędzej. Powóz potoczył się szybko drogą prowadzącą koło Kahlenbergu.

Sassa była uszczęśliwiona. Miała ujrzeć Jana Sobieskiego, miała wezwać go do Wiednia, miała ocalić masto. Była to przejmująca myśl, ożywcza nadzeja, że biednym, uciśnionym uda się jeszcze przyjść z pomocą i ocaleniem. Tą nadzieją przejęta, Sassa zwracająca uwagę na każdy odgłos, jechała pośród nocy. Pragnęła przybyć do króla polskego o ile podobna było najprędzej.

Rozdział XLV.

Spotkanie.

Król Sobieski tymczasem ze swoimi pułkami posuwał się naprzód. Jego sprzymierzeńcy byli w drodze do Wiednia i posiadali dokładne informacje, jak daleko się rozciągały linje oblężnicze.

Chwlia decydująca zbliżała się z dniem każdym.

Czerwony Sarafan, który pozostawał teraz ciągle w blizkoski króla, zmienił się bardzo od czasu, jak się dowiedział, że Jagiellona jest jego matką. Zamknięty w sobie trzymał się zdala od żołnierzy, nie śmiał się tak jak przedtem, nie skakał, zdawał się pracować myślą, często rozmawiał półgłosem sam ze sobą. Częstokroć oczy jego błyskały nagle. Przypominał sobie zapewne, że Jagiellona postanowiła śmierć jego i chciała go oddać w ręce kata. To go czyniło ponurym, trwożliwym i podejrzliwym. Przestał się wdawać w żarciki z żołnierzami, spoważniał.

Sobieski widział to i miał serdeczne współczucie dla biednego Sarafana, z którym go związki krwi łączyły.

Gdy razu pewnego król rozmawiał z Sarafanem, ten drgnął nagle i zawołał: — Patrz, panie... co to jest? Jadą tam jeźdźcy z przedniej straży, i zdaje mi się, że otaczają jakąś karetę.

— Kareta? coby to znaczyło? — rzekł Sobieski.

Kapitan Wychowski, znajdujący się w blizkości króla, pojechał natychmiast naprzód, aby zobaczyć, kogo jeźdźcy z przedniej straży zatrzymali, a król z orszakiem stanął chwilowo.

— Jeżeli się nie mylę, panie — rzekł Czerwony Sarafan do Sobieskiego, — to jest powóz księżnej Sassy, która ubiera się czarno, bo owdowiała.

— Sassy? Ależ mówiłeś mi, że Sassa jest w Wiedniu zamknięta.

— Kto wie panie, co się stało, ale zaraz usłyszysz. Kapitan już dojechał do karety.

Wszyscy z ciekawością oczekiwali, co nastąpi. Nikt jeszcze nie mógł wyjaśnić, jakim sposobem kareta mogła przejechać przez przednie straże tureckie. Wychowski, jadący obok karety, zbliżał się. Jeźdźcy z placówki stanowili jak gdyby straż honorową. Nagle Wychowski podjechał do króla.

— Księżna Animow, najjaśniejszy panie, nadjeżdża tym powozem, — rzekł.

Król zadziwił się radośnie.

— Sefan miał słuszność! — zawołał, — ma on bystry wzrok... poznał księżnę i jej powóz.

Król poszedł naprzeciw powozu, który zaraz się zatrzymał. Służący zeskoczył i otworzył drzwi.

Sassa, czarno ubrana, miła i czarująca, wysiadła i przystąpiła do Jana Sobieskiego, którego teraz po raz pierwszy wzrokiem ujrzeć mogła, gdyż przedtem będąc niewidomą, tylko w wyobraźni tworzyła sobie jego obraz. Teraz ujrzała pięknego, silnego znakomitego męża, którego od dzieciństwa kochała idealną miłością.

Stanęła. Przejęta wzruszeniem, chciała uklęknąć przed królem. Sobieski przeszkodził temu, ujmując ją za ręce.

— Otóż wizyta równie radosna, jak niespodziewana, księżno, — rzekł, — ale przedewszystkiem przyjm pani zapewnienie mego najgłębszego współczucia po stracie, jaka cię dotknęła. Wiadomość ta, sprawiła mi głęboką boleść. Z radością jednak dowiedziałem się, że odzyskałaś wzrok. Tutaj Sefan był twym posłańcem, księżno.

Teraz dopiero Sassa spostrzegła Czerwonego Sarafana.

— Sądziłam, że nie dostał się do Ciebie najjaśniejszy panie, — rzekła swym dźwięcznym jak zawsze głosem, obawiałam się, czy nie zginął, dlatego teraz sama puściłam się w drogę do ciebie, najjaśniejszy panie, i udało mi się rzeczywiście przejechać przez szeregi oblęgających.

— Niebezpieczna to była podróż, księżno, — rzekł Sobieski, patrząc z radością i współczuciem na byłą niewolnicę, która teraz wyglądała jeszcze piękniej, niż kiedykolwiek.

— Dawniej nazywałeś mnie Sassą, najjaśniejszy panie, — odpowiedziała Sassa prawie z smutną twarzą, — dotąd jeszcze brzmi w uszach to imię, czy nie raczyłbyś i teraz tak mnie nazywać, aby sercu mojemu dobrodziejstwo wyświadczyć?

— Teraz jesteś kim innym, księżno.

— Dla ciebie, najjaśniejszy panie, pozostanę do śmierci tem, czem byłam, twoją wdzięczną Sassą, — ślepa niewolnica szczęśliwą jest, że odzyskała wzrok i może teraz oglądać oblicze swego niegdyś pana i dobroczyńcy. Z radością narażałam się na wszelkie niebezpieczeństwa, aby pospieszyć do ciebie i wezwać cię: przybywaj, póki czas jeszcze, ocal uciśnionych, głodnych i wynędzniałych! W tobie i twoich sprzymierzeńcach jest ostatnia nadzieja, bo jakiż los czeka miasto, jeżeli ci okrutni, chciwi mordów Turcy, wejdą zwycięsko w jego mury?

— Jestem na miejscu, Sasso. Kilka tylko mil dzieli moich walecznych żołnierzy od nieprzyjaciela. Uwolnię i ocalę nieszczęśliwe miasto, przyrzekam ci to, — odpowiedział król, — śmierć lub zwycięstwo, oto będzie nasze hasło! Idziemy naprzód! Niezadługo przyjdzie do walnej bitwy, niezadługo biedni Wiedeńczycy zostaną ocaleni. Walka będzie straszną i trudną, ale nie tracę nadziei.

Sobieski podał rękę księżnie, która z zachwytem i czcią patrzyła na bohatera, a następnie wsiadł na konia i w towarzystwie otaczających go dowódców pojechał do sprzymierzonych książąt, aby zaraz odbyć radę wojenną, gdyż nazajutrz miano już spotkać się z nieprzyjacielem.

Wymowie Sobieskiego prędko udało się pokonać skrupuły sprzymierzonych przeciwko przyspieszeniu walki.

— Im prędzej stoczymy decydującą bitwę, — tem łatwiej możemy liczyć na powodzenie. Jeżeli wielki wezyr będzie miał czas przez kilka dni przygotować się do odparcia naszego ataku, to mu nie damy rady!

Sprzymierzeni zgodzili się po krótkiej dyskusji na powierzenie dzielnemu królowi polskiemu naczelnego dowództwa, gdyż sława jego głośną była szeroko i on najliczniejszy zastęp przyprowadził do boju.

Sobieski przyjął ofiarowaną godność, przyrzekając, że zwycięży, albo zginie na placu walki.

— Czyż może być większa sława, jak na placu walki życie położyć? — mówił, — idzie tu o położenie tamy postępom barbarzyństwa, więc naprzód! Walczmy wszyscy jak jeden mąż i złóżmy dowód, że jesteśmy gotowi krew i życie poświęcić dla wspólnej sprawy chrześcijaństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Poradnik gospodarczy.

Gruźlica a zaraza płucna bydła.

Zasadnicza różnica pomiędzy gruźlicą a zarazą płucną polega na tem, że gruźlica jest chorobą przewlekłą, czyli chroniczną i trwać może rok, dwa i dłużej, zaraza płucna zaś jest chorobą przeważnie krótkotrwającą najczęściej do kilku tygodni; gruźlica ma objawy niewyraźne, małoznaczne na pozór i nie łatwe do spostrzeżenia, a zaraza płucna objawia się więcej wyraźnie, występuje nieraz w postaci gwałtownej: wysoka gorączka, silny kaszel, stękanie itd.

Zmiany, jakie zachodzą w płucach, ujawnione po zabiciu lub padnięciu bydlęcia, bywają następujące: Przy gruźlicy zwykle zajęte bywają w różnym stopniu obydwa płuca, a w nich (i na nich) znajdują się żółte guziczki (gruzełki) różnej wielkości. Obydwa płuca prawie nigdy nie bywają powiększone. W klatce piersiowej rzadko kiedy znajdujemy nagromadzenie jakiegoś płynu. Niekiedy zauważa się, że płuca są przyrośnięte do żeber. Takie są objawy pośmiertne przy gruźlicy.

Natomiast przy zarazie płucnej bydła po śmierci są zmiany następujące: Przedewszystkiem prawie zawsze zajęte tu bywa tylko jedno płuco (prawe lub lewe) i to najczęściej lewe. Płuco to jest wtedy bardzo powiększone i ciężkie, koloru żółto-różowego i nieraz z odcieniem fjoletowym. Gdy płuco takie przekroimy, to na przecięciu widzimy kilka twardych części rozmaitej barwy: różowej, czerwonej i ciemnej, przytem w wielu miejscach przechodzą żółte żyłki, wskutek czego płuco takie ma wygląd marmurowaty. W klatce piersiowej prawie zawsze znajdujemy znaczną ilość płynu surowicznego — w przeciwieństwie do gruźlicy; wreszcie chore płuco bardzo często bywa przyrośnięte do żeber odpowiedniej strony, a pomiędzy żebrami i płucami bywają gniazda ropiejące.

Nawożenie pod drzewa owocowe.

W sadach owocowych należy pamiętać o uprawie roli, by ziemia czysta, pulchna i przewiewna. Jeżeli drzewa nie są jeszcze stare i nierozrośnięte, to wskazana będzie uprawa okopowych, ziemniaków, marchwi, buraków, oraz różnych warzyw, a gdy drzewa tak ocieniają rolę, że uprawa tych roślin nie opłaca się, najlepiej będzie zastosować uprawę mieszanek na zieloną paszę, złożonych z roślin motylkowych, peluszki i wyki z dodatkiem niewielkiej ilości owsa i jęczmienia. Przy uprawie w sadzie roślin okopowych lub motylkowych na zieloną paszę, należy nawozić pod te rośliny, stosując obornik co 2—3 lata w jesieni, lub na wiosnę na całej przestrzeni pod drzewami, — częściowo z obornika skorzystają również i drzewa owocowe. Wskazane będzie użycie nawozów sztucznych i wapna palonego, lecz wielkość dawek uzależnia się od wieku i wielkości drzew. Biorąc pod uwagę, że drzewa są prawdopodobnie stare, możemy polecić: superfosfatu w ilości 1.5—2.5 kg., soli potas. 30—40 proc. 1.5 do 2.5 kg., saletry chilijskiej 1—2 kg. lub saletry amonowej 0.5—1 kg. na jedno drzewko. Wapna palonego 1 kg. na 1 m. kwadratowy. Nawozy fosforowe i potasowe wraz z wapnem można rozsiać w jesieni, albo też wcześnie na wiosnę na obwodzie korony i przykryć, przekopując lub orząc nie głębiej, jak na 15—20 cm. Nawozy azotowe w postaci saletry chilijskiej lub saletry amonowej rozsiać w maju lub w początku czerwca w ten sam sposób, jak nawozy fosforowe i potasowe.

Poradnik kucharski.

Wołowina na sposób hiszpański. Wziąć piękny kawałek mięsa wołowego, naszpikować zamiast słoniny tłustą szynką, utłuc pieprzu, goździków, kwiatu muszkatowego i kardemonu. Utrzeć na tarce różnej włoszczyzny, zamięszać z korzeniami i natrzeć tem dobrze mięso, włożyć na rożen i upiec. — Wziąć potem w rondel masła rozpuścić, wsypać do niego łyżkę mąki, wymięszać na ogniu, nalać rosołem, dodać drobno usiekanych sardelów, dobrze w wodzie wymoczonych cebuli, trochę soli zagotować parę razy, zafarbować karmelem z cukru i przecedzić przez sitko do innego rondla. Obetrzeć jedną pomarańczę i nacukrzyć, włożyć ten cukier do sosu, a pomarańczę wycisnąć; wziąć kilka grzybków i korniszonów, pokrajać wszystko i razem zagotowawszy, oblać mięso gorącym sosem na półmisku pokrajane i ułożyć.

Pieczeń na dziko. Ładny kawałek pieczeni wyżyłować, zbić pałką i zalać przegotowanym octem z pieprzem, liśćmi bobkowymi i cebulą. W occie tym niech pieczeń poleży 3 dni, codzień przewracając. Gdy się ją ma gotować, wyjąc z octu, naszpikować słoniną, włożyć do rondla na rozpalone masło, dać dużo jarzyn i dusić pod pokrywą. Przed wydaniem zaprawić kwaterką śmietany z łyżką mąki, zagotować i wydać.

KRONIKA.

Św. Mikołaj. Jak wiadomo, św. Mikołaj, którego uroczystość przypada 6 grudnia, jest patronem nietylko małych, ale i starych dzieci. W dniu tym, jak wierzą dzieci, przychodzi do domów św. Mikołaj i przynosi podarki tym, którzy byli przez cały rok grzeczni. Ale już we Francji św. Mikołaj jest patronem małżeństwa. Za życia na ziemi był on biskupem w Nyssie i słynął ze swego miłosierdzia. Gdy pewnego dnia dowiedział się o trzech siostrach, panienkach pięknych i cnotliwych lecz ubogich, które z tego powodu nie mogły połączyć się z wybrańcami swego serca, zakradł się w nocy pod okno ich izdebki i podrzucił im trzy złote kule, jako posag. Gdy wieść o tem rozeszła się, uznany został za opiekuna małżeństw, a później dzieci. Otóż w Wogezach młode dziewczęta, obudziwszy się rano w dzień św. Mikołaja, nie zaniedbują westchnąć serdecznie do dobrego staruszka i polecić mu się, mówiąc: „Święty Mikołaju stary, co dobierasz ludzkie pary, o mnie pamiętaj, chłopczyka mi daj!" Oprócz panien, pragnących wyjść za mąż, wzdychają do tego świętego także kobiety bezdzietne lub te, które chcą mieć ładne dzieci, a także chłopcy, szukający dobrej żony.

Przepowiednie na grudzień. Po naogół wyjątkowo pogodnym tegorocznym listopadzie, prognoza na grudzień przedstawia się następująco. Temperatura grudniowa będzie oczywiście zimną, lecz przez cały miesiąc raczej przeciętnie zimna — z pewnemi wahaniami w stronę ocieplień i zimna silniejszego, będzie kilka dni silnie mroźnych, oraz kilka dni wybitnie łagodnych. Fala zimna zawita przypuszczalnie w pierwszym i drugim tygodniu miesiąca, przerywana temperaturą łagodniejszą około 2, 7 i 12 grudnia. Potem następuje stopniowe ocieplenie. Około gwiazdki ponownie fala zimna, nadciągająca z północy i wschodu kontynentu, gdzie zapanują silne mrozy. Zachmurzenie przeważnie duże. Liczne opady w postaci deszczu, śniegu i gradu. Najkrytyczniejszy okres dla pogody w dniach od 9 do 26 grudnia, przynoszący gwałtowne zaburzenia atmosferyczne z wyładowaniami na początku i końcu tego okresu. Silne zmienne wiatry. Ano, zobaczymy.

Tragiczny koniec wesela. We wsi Maciejowice pod Kocmyrzowem podczas wesela przyszło między gośćmi do krwawej awantury. W czasie zamieszania jeden z uczestników począł strzelać z rewolweru i kula ugodziła w brzuch 33 letniego Franciszka Zembalę, który padł na ziemię, brocząc krwią. Zawezwane telefonicznie przez posterunek policji pogotowie ratunkowe z Krakowa wyjechało z lekarzem na miejsce wypadku. Stwierdzono u Zembali ciężką ranę w brzuch i przewieziono go w beznadziejnym stanie do szpitala. Sprawca tragicznej strzelaniny zbiegł.

Niezwykłe oszustwo majątkowe. Przed paru miesiącami zgłosił się do notarjusza w Jordanowie niejaki Antoni Sępek z Osielca wraz z niewyśledzonym dotąd osobnikiem oraz dwoma świadkami z Jordanowa, poczem przedstawiwszy owego osobnika jako Józefa Suskiego z Osielca, polecił notarjuszowi sporządzić deklarację hipoteczną, którą rzekomo Suski uznaje Senka i jego żonę Marję za właścicieli połowy jego majątku, przedstawiającego wartość kilkunastu tysięcy złotych i zezwala na zaintabulowanie ich za właścicieli tej nieruchomości. Tak sporządzoną deklarację hipoteczną osobnik ów podpisał jako Suski i na jej podstawie Sępek uzyskał intabulację prawa własności dla siebie i swej żony. Przed paru dniami Suski, chcąc sprzedać kawałek gruntu, udał się do hipoteki, gdzie z przerażeniem stwierdził, że połowa jego majątku przepisana została na Sępka. Po przeglądnięciu i zbadaniu aktu notarjalnego i przesłuchaniu świadków stwierdzających tożsamość osoby Suskiego, przejrzał Suski manipulację Sępka, którego celem ukarania i winnych polecił opiece sądu.

Potrójne samobójstwo. We wsi Szyszkowice pod Wilnem zdarzył się niezwykły wypadek potrójnego samobójstwa, popełnionego przez 99 letniego starca Nestorowicza. Wypił on najpierw pewną dozę esencji octowej, lecz ponieważ dawka była za słaba, starzec zadał sobie nożem ranę w brzuch. Rana ta jednak nie była śmiertelna, wobec czego uparty samobójca powiesił się na belce w stodole. Tym razem życzeniu jego pozbawienia się życia stało się zadość. Jak stwierdziło śledztwo, Nestorowicz mimo prawie 100 lat kochał się namiętnie w młodej dziewczynie i z powodu braku wzajemności targnął się na swoje życie.

Mimowolny zabójca. Ubiegłej niedzieli w Smolinie koło Rawy Ruskiej w czasie zabawy weselnej rozegrała się krwawa tragedja, zakończona śmiercią dwóch młodych mężczyzn. Mianowicie po ślubie 22 letniego Pawła Kuliszki nastąpiła huczna zabawa z tańcami. W czasie tejże strzelano również na wiwat, a jeden strzał z rewolweru oddał także 20-letni Wasyl Wechoła, syn Jurka. Strzał jego jednak był fatalny, bo wskutek nieostrożności kula ugodziła Kuliszkę w pierś. Obecni goście pospieszyli panu młodemu z pomocą, lecz wszelkie wysiłki były daremne, gdyż Kuliszko w godzinę później zakończył życie. Wechoła z rozpaczy i bojaźni przed odpowiedzialnością udał się w krzaki obok domu i tam oddał do siebie dwa strzały, ponosząc śmierć na miejscu.

Skrytobójcze morderstwo. W ubiegłym tygodniu w tajemniczy sposób zostało popełnione morderstwo w pobliżu gminy Laszki górne obok Bóbrki. Wczesnym rankiem na drodze wiodącej przez pole przechodzący włościanie znaleźli zwłoki Tomasza Wannyka, liczącego 42 lata, zamieszkałego w Laszkach górnych.



Zmarły Wannyk miał zmasakrowaną głowę. Kilka ran tłuczonych na skroni i tylnej części głowy. Zawiadomiona o morderstwie policja w Bóbrce wdrożyła dochodzenia.

Obici złodzieje. Ulica Marjańska w Warszawie była onegdaj widownią groteskowej walki, stoczonej przez lokatorów ze złodziejami, przyczem złodziejów uratowała z opresji policja. Przebieg tego zajścia, które wzbudziło ogólną wesołość, był następujący: Jedna z lokatorek zauważyła w piwnicy światło. Zakradła się tam i stwierdziła, że w piwnicy gospodarują złodzieje. Wobec tego zaalarmowała całą kamienicę i kto żył uzbroiwszy się w laski, kije, pogrzebacze i inne groźne narzędzia, pod komendą dozorcy domu, pospieszył do piwnicy. Zastano tam istotnie trzech złodziei, którzy na widok całej gromady lokatorów cofnęli się w kąt. Tam dopadli ich lokatorzy i zaczęli ich walić kijami,

tak, że złodzieje krzyczeli w niebogłosy i wołali pomocy policji. W trakcie tego jeden ze złodzieji wydobył z kieszeni rewolwer, co znów wywołało panikę wśród lokatorów i spowodowało powolną ich rejteradę ku wyjściu z piwnicy. Tymczasem jednak zjawiła się już na miejscu policja, której złodzieje, porządnie już obici, oddali się z całą ufnością w opiekę. Co do rewolweru, który przeraził lokatorów, okazało się, że był to zwyczajny straszak.

Przerżnięty piłą, Z Katowic donoszą: W tartaku Towarzystwa hr. Renard zdarzył się ścinający krew w żyłach wypadek, którego ofiarą padł robotnik Franciszek Wolny. Zbierając trociny obok wielkiej piły do cięcia drzewa, Wolny został pochwycony przez tryby za nogę, poczem piła przecięła go wpół. Zanim zdołano wstrzymać maszynę, Wolny był już prawie przecięty. Zabrany niezwłocznie do szpitala, nieszczęśliwy robotnik w drodze zakończył życie.

Chłopi przeciw bolszewikom. Z Charkowa do władz centralnych w Moskwie nadchodzą wiadomości o terorze organizacyj antysowieckich na Ukrainie. Pod Charkowem włościanie spalili budynki komuny rolnej „Czerwona Zoria", przyczem zginął również inwentarz. W miasteczku Rachnach na Podolu w przeciągu jednej nocy spalono 7 gospodarstw należących do komunistow. Kilka pożarów z podpalenia zdarzyło się koło Kamieńca Podolskiego, przyczem pastwą płomieni padły budynki rządowe. W Kuryłowcach Murowanych na Podolu włościanie strzelali do budynku, w którym odbywało się posiedzenie miejscowej organizacji komunistycznej, przyczem jednego komunistę zabito, a trzech raniono. W związku z tworzeniem nowych komun rolnych wśród ludności szerzy się pogłoska, że komuniści wprowadzają z powrotem pańszczyznę i że chłopi, którym zabierają ziemię, będą musieli pracować darmo w komunach rolnych. We wsi Wałkach pod Kijowem strzałem przez okno zabito prezesa miejscowego sowietu Pińczuka. W Łukaszewce w okręgu Czernihowskim zamordowano prezesa sowietu Bielicza. Oddział G. P. U. rozstrzelał trzech włościan podejrzanych o to zabójstwo.

Doniosły wynalazek. W Berlinie w Towarzystwie medycznem referował Polak Dr Kuczyński wyniki swych prac nad wykryciem bakcyla żółtej febry. Uczonemu udało się nietylko wykryć bakcyla, lecz również przez zaszczepienie go małpom, otrzymać serum ochronne. Działanie serum otwiera widoki radykalnej zmiany stosunkow zdrowotnych w krajach tropikalnych, gdzie epidemja żółtej febry jest najstraszniejszym wrogiem ludzkości.

Zatruci kawą. Prasa francuska doniosła niedawno, że w pewnej wsi w departamencie Loary mieszkańcy rozchorowali się ciężko wskutek wypicia zatrutego wina. Podobny, jeszcze bardziej dramatyczny wypadek wydarzył się w miejscowości francuskiej koło Montpeller. Jeden z tamtejszych mieszkańców po wypiciu filiżanki kawy przez samego siebie upalonej, zachorował wśród ciężkich objawów otrucia i zmarł. Następnego dnia 108 osób na uczcie weselnej dostało straszliwych boleści również po wypiciu kawy. Jedno sześcioletnie dziecko umarło. Dotychczas nie stwierdzono, czy zatrucie spowodowała kawa, czy też jest jaka inna przyczyna tych masowych wypadków choroby.

W oczekiwaniu śmierci. W paryskiem więzieniu św. Łazarza dwie kobiety czekają obecnie na wykonanie wyroku śmierci. Od 15 lat nie zdarzyło się, aby w celi śmierci przebywały jednocześnie dwie skazane. Jedną z nich jest Chorwatka Junka Kures, która zamordowała 12 letnią dziewczynkę w lasku Bulońskim, drugą zaś Marja David, wdowa, morderczyni małego dziecka. Z nienawiści do swoich współlokatorów udusiła niemowlę w czasie nieobecności rodziców. Każda skazana na śmierć, dopóki przebywa w więzieniu św. Łazarza, pozostaje pod ciągłym dozorem zakonnicy i dwu kobiet odsiadujących więzienie. Dozorczynie ani na chwilę nie odstępują skazanych. Gdy Junka Kures przybyła do więzienia wskazano jej celę Nr 13. Wzbraniała się wejść do tej celi, mówiąc, ze trzynastka przynosi jej nieszczęście. Umieszczono ją tedy w celi Nr 11 razem z Marją David, która stale leży w łóżku, ponieważ lęk przed śmiercią pozbawił ją zupełnie sił.

Burze i powodzie. W ubiegłym tygodniu w całej zachodniej Europie panowały niebywałe burze. Cyklon, jaki szalał nad Anglją, dał się szczególnie we znaki Liverpoolowi i okolicy. Silnie ucierpiała w czasie burzy wyspa Helgoland, gdzie fale zalały całą plażę. Całe Niemcy południowe nawiedził orkan. W Karlsruhe spadły ulewne deszcze, a w Schwarzenwaldzie śnieżyca. Ren wraz z dorzeczem wezbrał gwałtownie z godziny na godzinę. Powódź zalała też w zagłębiu Ruhry szereg parterowych mieszkań w licznych domach nadbrzeżnych. W całym okręgu Kolonji wicher zerwał około 60 połączeń telefonicznych. Poziom wody w Mozelli, Lahmie i Saarze znacznie się podniósł. Wielka tama na Skaldzie została przerwana w kilku miejscach. Z powodu gwałtownego przyboru rzek część Holandji połodniowej została zalana. Z Ostendy donoszą, że szalała tam gwałtowna burza. Woda przerwała tamę wzdłuż całego wybrzeża i zalała ulice nadmorskie. Szkody są bardzo znaczne. Kilka domów runęło.

Oryginalny podatek. W Quebec w Kanadzie nabrano przekonania, że ludzie o wielkim apetycie powinni płacić odpowiedni podatek. I tak wydano odpowiednie rozporządzenie, obowiązujące w hotelach i restauracjach, iż do każdego posiłku, którego cena przekracza 5 szylingów, dolicza się 5 procent na cele dobroczynne. W ostatnim roku podatek ten przyniósł 60 tysięcy funtów, co daje w złotych około dwa i pół miljona. Jest to bezwątpienia przykład godny naśladowania.

Operacja w paszczy lwa. Piękna legenda o człowieku, który lwu wyjął cierń z łapy, a ten z wdzięczności szedł za nim niczem wierny pies — nie jest tak znów zupełnie pozbawiona cech możności. Zwierzęta są wdzięczniejsze i bardziej inteligentniejsze, niżby to zdawało się nieznających ich bliżej. Szczególnie ludzie, którzy dużo przebywali w towarzystwie zwierząt, poznali ich psychikę i co najważniejsze, odznaczają się wrodzoną dobrocią, co zwierzę swym instynktem nieomylnie poznaje — opowiadają nieraz o wielkiem przywiązaniu i zadziwiającej inteligencji swych pupilów. Ostatnio młoda pogromczyni lwów miss Lee Maniseth z Oakland w Kalifornji odważyła się na dokonanie bolesnej operacji lwicy imieniem „księżniczka". Mianowicie cienka drzazga odłupana od kości stanęła lwicy w gardle, a wbiwszy się w ciało uniemożliwiła przyjmowanie pokarmu oraz sprawiała niepomierny ból. Lwica przybiegła do swej pani i łasząc się najwyraźniej, prosiła ją o pomoc. Pogromczyni konferowała z szeregiem weterynarzy, ale żaden z nich nie dał się skusić wysokim wynagrodzeniem i włożyć ręki w paszczę wijącej się z bólu lwicy. Wtedy młoda pogromczyni sama zdecydowała się przeprowadzić operację. Wsunęła rękę z nożykiem głęboko w paszczę zwierzęcia i po rozszerzeniu rany, wydobyła odłamek kości. Pomimo, bez wątpienia, szalonego bólu, lwica przez cały czas operacji zachowywała się spokojnie, rozumiejąc snać, iż operacja czyniona jest dla jej dobra. Radość zwierzęcia po usunięciu kości z gardła trudno opisać. Lwica jak oszalała biegała po klatce

niby kotka przewracała się na grzbiet i co chwila przypadając do rąk pogromczyni, lizała je na znak podzięki. Oczywiście stara przyjaźń między lwicą a pogromczynią od tej chwili jeszcze się pogłębiła.

Wynajem pierścionków ślubnych. Dziwnem byłoby u nas wynajmowanie obrączek ślubnych. A jednak w Nowym Jorku, gdzie rozwody i małżeństwa są tak częste, istnieją w pewnych dzielnicach miasta sklepy, zajmujące się nietylko wynajmem obrączek, ale nawet całych ubrań ślubnych. Podobno sklepy te cieszą się liczną klijentelą i nieraz się zdarza, że jedna i ta sama para obrączek, jeden i ten sam strój ślubny wynajmowane są po kilka razy tygodniowo.

Tajfun na Filipinach. O rozmiarach tajfunu, szalejącego w ostatnich dwóch dniach ubiegłego tygodnia ponad wyspami Filipińskiemi, o których pisaliśmy już w numerze 48 „Roli" nadchodzą dopiero teraz bliższe wiadomości. Huragan zniszczył kilka tysięcy domów mieszkalnych, oraz uczynił wielkie spustoszenia w zbiorach. Ofiarą huraganu padło 200 osób zabitych a przeszło 10 tysięcy osób pozbawionych jest dachu nad głową.

Król - kaznodzieja. Król afgański Amanullah, który bawił niedawno i w Polsce, powróciwszy do kraju, kazał wznieść na placu publicznym w Kubalu wysoką estradę, z której wygłasza co piątek do ludności swej stolicy mowy, wyjaśniając znaczenie swej podróży, oraz pożyteczność reform przez niego zamierzonych i wprowadzanych. Za trybuną mówcy umieszczono olbrzymią mapę geograficzną. Prowadząc wskazówką po mapie, król kaznodzieja opowiada swemu ludowi o krajach, które on zwiedził, i o cudach cywilizacji zachodniej. Usiłuje przekonać swych słuchaczy o konieczności przekształcenia wszystkich stron życia narodu afgańskiego i nawołuje do zwalczania apatji wschodniej. W warunkach afgańskich wystąpienia publiczne króla nie przedstawiają czegoś niezwykłego, bo w tym kraju, o nastroju patrjarchalnym, kazania monarsze w meczetach i przed zebraniami ludowemi są zwyczajem wkorzenionym już od dawnych czasów.

Ochrona brzydkich mężczyzn. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą, iż w Paryżu powstał ostatnio pod przewodnictwem pewnej 30 letniej studentki oryginalny klub „Ochrony brzydkich mężczyzn". 500 członkiń tego nowego klubu doszło do przekonania, że wspólne pożycie przez dłuższy czas z urodziwym mężczyzną jest poprostu nie do zniesienia. Mężczyzna obdarzony przez naturę ponętną powierzchownością, jest zawsze próżnym, zarozumiałym, egoistą i wydaje mu się, że robi kobiecie łaskę, jeżeli jest przy niej. Z ładnym mężem lub kochankiem niewiadomo jak właściwie postępować. Jeżeli mu się daje swobodę, to napewno z niej skorzysta. bo kobiety same mu się narzucają. Zazdrość również nie prowadzi do celu, bo taki ładny mężczyzna nie da się utrzymać i zerwie krępujące go okowy zazdrości. Piękny mężczyzna nigdy nie jest ani za młody, ani za stary na awanturki miłosne, które mu są potrzebne jak chleb codzienny. Nawet najrozsądniejsza, najbardziej wyrozumiała kobieta musi się wkońcu tem zdenerwować, a zazdrosna ulega atakom szału. A zatem albo kobieta walczy ciągle, co zatruwa życie i wytrąca z równowagi, albo rezygnuje, co nie wpływa dodatnio na zachowanie świeżości i młodości, lub też przestaje traktować tego pięknego mężczyznę serjo i uważa go za jakąś luksusową zabawkę, która kobiecie rozumnej życia wypełnić nie może. Natomiast brzydcy mężczyźni są zupełnie inni — wdzięczniejsi, skromniejsi, zdradzają prawie zawsze większą inteligencję, bardziej zasługują na zaufanie. Toteż za mężów wybierać należy jedynie brzydkich mężczyzn, bo tylko oni dają rękojmię szczęśliwego pożycia — przynajmniej tak radzą owe skonfederowane panienki francuskie.

Chińskie egzekucje. Chińczycy odznaczają się w dziedzinie katowania największą pomysłowością. Istnieją u nich wynalazcy narzędzi do katowania więźni. Z całą przyjemnością przypatrują się męczonym i zabijanym skazańcom, Najstraszniejszą karą jest jeszcze dziś istniejące wieszanie na słupku, przyczem kat leje ze spokojem skazańcowi na głowę to po kropelce roztopionego ołowiu, to znów po kropelce zimnej wody. Katowany dostaje zwyczajnie z bólu pomięszania zmysłów, a później kona wśród strasznych męczarni. Nie rzadkie jest też gromadne ścinanie skazanych na śmierć przestępców. Ceremonja odbywa się uroczyście nieraz przy śpiewie zgromadzonego ludu i wojska.



Obrazek dzisiejszy przedstawia nam dwu aresztantów, skazanych na tak zwany po polsku pręgierz. Na szyje zakłada się im jarzma dębowe, okute żelazem, ważące 30 do 35 kilogramów, które nieszczęśliwi muszą dźwigać najmniej 36 a czasem i więcej godzin. Jest to męka straszna, bo katowany nie może ani usnąć, ani w żaden sposób ulżyć sobie ciężaru.

Masowa wysyłka żon. W dawnych niemieckich kolonjach w południowej Afryce daje się odczuwać dotkliwy głód kobiet, po wojnie bowiem koloniści tamtejsi powrócili do Niemiec, na miejscu zaś pozostali przeważnie kawalerowie. Oni to poczęli zasypywać ofertami matrymonjalnemi pisma niemieckie, podając jak najbardziej szczegółowe dane, dotyczące własnej osoby, tudzież wyszczególniając swe wymagania w stosunku do przyszłych kandydatek na żony. I oto jedna z gazet angielskich donosi, że tysiące dziewcząt w wieku od 16—100 lat jęło wysyłać pocztą odpowiedzi na stęsknione i namiętne wołanie swych ziomków z pod skwarnego nieba Afryki. I codziennie prawie do portu Walwiss-Bay zawijają okręty, wiozące upragniony towar — tysiące jasnowłosych Gretchen, spieszących niecierpliwie w ramiona znanych im tylko z fotografji Hansów i Franzów. Rozpoznawanie żon uskutecznia się drogą specjalnych listownie umówionych odznak, a więc wstążki czy kwiatka przypiętego do gorsu czy ramienia, lub kolorowego krawatu na szyji kandydatki na żonę. Na przystani dyżurują specjalni ajenci towarzystw emigracyjnych, którzy czuwają, by kandydaci natychmiast załatwili formalności ślubne. O ile który z nich, ujrzawszy na rodzone oczy oryginał nadesłanej mu fotografji, cofnie się od interesu, musi wówczas wypłacić zblamowanej dzieweczce 1000 funt. szt. tytułem zwrotu kosztów podróży. Ale zdarza się to rzadko, gdyż wygłodniała młodzież, oślepiona pragnieniem żeniaczki, gotowa pójść do ołtarza z miotłą obleczoną w spódniczkę i posiadającą krzywe nogi, byle tylko raz zakończyć swój kawalerski żywot.

RZECZY CIEKAWE.

Żydzi w Stanach Zjednoczonych.

Według statystycznych obliczeń w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki mieszka 4.228.029 żydów.

Liczby te tyczą się jednak tylko tych żydów, którzy się do żydowskiej religji przyznali. Niewątpliwie istnieje jeszcze około miljona żydów nie objętych tą statystyką. Z liczby powyższej 93 proc. mieszka w wielkich miastach, z czego 90 proc. w Stanach północnych. Zaledwie 2,6 proc. żydów zamieszkuje wsie. Żydzi stanowią 3,60 procent ogólnej ludności Stanów Zjednoczonych.

W mieście Nowym Jorku jest 1,765.000 żydów, wyznających mojżeszową religję, czyli że stanowią oni 30 proc. ludności. W Chicago jest 325.000 żydów; w Filadelfji 270.000; w Bostonie 90.000; w Cleveland 85.000; w Detroit 75.000; w Baltimore 68.000; w Los Angelos 65.000; Pittsburgu 53.000 i w St. Louis 50.000.

Najwięcej żydów jest w stanie nowojorskim — blisko połowa wszystkich żydów, zamieszkujących w Stanach Zjednoczonych. Najmniej, bo tylko 264 żydów, mieszka w stanie Nevada.

Cześć dla rodziców u mahometan.

Różne są religje na świecie. Około 600 r. utworzył Mahomet religję, zwaną islamem, której wyznawcy w liczbie 193 miljonów zowią się mahometanami i muzułmanami. Ich godłem jest półksiężyc. Turcy, Arabowie, Tatarzy, Persowie, Czerkiesi i wiele innych narodów przyjęli tę naukę Mahometa, która obok stron bardzo ujemnych zachęca także do dobrego. Mahomet zakazał np. używania wina i rozpalających napojów, a zalecił usilnie cześć i miłość dla rodziców. Kto u mahometan nie szanuje ojca i matki, ten doznaje wzgardy, jakiej doznają zdrajcy i wogóle zbrodniarze. Dzieci wobec rodziców nie siadają bez pozwolenia. W Algierze panował niegdyś książę arabski Abd el Kader. Francuzi, podbiwszy ów kraj, wzięli go w niewolę, z której go dopiero po dziesięciu latach uwolnili. Gdy wracał z niewoli, czekali na niego książęta i bogaci ludzie, aby go powitać. Abd el Kader ukłonił się przelotnie i pobiegł najprzód do matki staruszki, którą w ręce i nogi ucałował. Następnie usiadł przy niej i opowiadał o swoich przygodach.

Dawni Polacy, uważali Turków i inne narody mahometańskie za pogan. Jednakże tak nie jest, gdyż wierzą oni tylko w jednego Boga, a bałwochwalcy kłaniają się licznym bogom i boginiom. Religja mahometańska jest pod wielu względami wyższą aniżeli pogańska, a niższą od chrześcijańskiej.

Sosna na cmentarzu w Jasieniu.

Nad morzem Bałtyckiem, gdzie leżą miasta Gdańsk, Puck, Wejherów, Kościerzyna, Chojnice, Kartuzy, Bytów i Lęborg mieszka lud polski, zwany Kaszubami. Liczba Kaszubów wynosi około 170.000 głów. Ich mowa różni się cokolwiek od polskiej. Ryba zowie się u nich reba; cieśla — cesla; kobieta — białka; chata — checza; syn — sen.

Kaszubi są bardzo religijni, poczciwi i pracowici. Dawniej kwitnęła u nich cześć dla rodziców jak rzadko gdzie na świecie. Jeżeli dziecko było czasem nieposłuszne rodzicom, albo co gorsza, podniosło na nich rękę, wówczas ciężkie spotykały kary takich wyrodków. Lud Kaszubski opowiada, że bardzo dawnemi czasy we wsi Jasieniu uderzył syn ojca. Zbrodnicza ręka w tej chwili zmartwiała, a niegodziwy chłopiec wkrótce zakończył życie. Pochowano go na cmentarzu, ale złe dziecko nie miało w grobie pokoju, gdyż ręka, którą udrzył ojca, przebiła się przez trumnę i wyrosła z ziemi, żądając kary, a dopiero wtedy cofnęła się do mogiły, gdy ojciec ukarał ją gałęzią sosnową. Zasadzono tę gałąź na grobie niegodnego dziecka, a z tej gałęzi wyrosła wielka sosna, na której szczycie znajduje się pięć suchych gałązek, mających podobieństwo do pięciu palcy u ręki. Rodzice przyprowadzali nieraz dzieci na cmentarz, a wskazując na sosnę, mówili: „Patrzcie, jak to Bóg ciżko karze złe dzieci, jeżeli nie szanują rodziców“.

Przed niedawnym czasem rosła jeszcze owa sosna na cmentarzu w Jasieniu, który się nazywa po niemiecku Jassen a położony jest w powiecie bytowskim, w Pomeranji.

Syn garncarza królem.

Wyspa Sycylja leży na morzu Śródziemnem. Wznosi się tam miasto Syrakuzy, licząc obecnie 23.000 mieszkańców. W starożytnych czasach przed narodzeniem Chrystusa zawierało to miasto przeszło 4 mile obwodu i 300.000 ludności. Około 316 r. przed Chrystusem panował w Syrakuzach król Agatokles. Był on synem garncarza, ale z powodu wielkich zdolności i niezwykłego męstwa osiągnął tron królewski. Agatokles nie wstydził się swego pochodzenia. Ojca sadzał przy sobie, a na stole podczas uczty nie kazał zastawiać złotych i srebrnych naczyń, tylko gliniane. Mawiał on nieraz: „Niech wiedzą wszyscy o tem, że mój ojciec był garncarzem, a ja jestem synem garncarza“.

Niechże Agatokles będzie przykładem dla tych dzieci, które się wstydzą pochodzenia swych rodziców. Dzieci, młodzieńcy i panny! Już w młodości niech się wzbudzi w waszych sercach mocne postanowienie, że choćby wasi rodzice żyli w największej nędzy, choćby byli prostaczkami, a wy ludźmi oświeconymi, chociażby nawet co złego popełnili, za coby ich więzieniem ukarano, mimo to wszystko nie wolno wam wstydzić się waszych rodziców, owszem zawsze i wszędzie macie im okazywać miłość, szacunek i posłuszeństwo.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Marja Wawrzykówna** w P.: Pisze Pani do nas: „W odpowiedziach Redakcji wyczytałam odpowiedź do p. St. Zaleskiej: No chwała Bogu, że choć jedna kocha „Rolę“ i jej redaktora! — No ale Pan się myli; jednak więcej jest takich, co nietylko „Rolę“ kochają, że daje im tyle pięknych rzeczy, lecz i P. Redaktora, że „Rolę“ tak pięknie redaguje i wkłada w nią tyle bezinteresownej pracy. Trzeba chyba być wyzutym z uczuć, by takiej pracy nie uznać! Lecz i to się, niestety, zdarza. Ja ze swej strony wyrażam najszczersze uznanie i cześć!“ Takie słowa znaczą więcej, aniżeli największa zapłata pieniężna. A miłość? Miłość tylko wtedy jest prawdziwą miłością, jeżeli ona jest zupełnie, ale to zupełnie bezinteresowną i jeżeli jest bez wszelkich zastrzeżeń. Lecz jakże się to rzadko zdarza na świecie!... Obydwa nadesłane nam utwory są zupełnie dobre i będziemy starali się zamieścić je wkrótce tembardziej, że są aktualne. — **Antoni Frączek** w P.: Z „Myśli“ skorzystamy. — **Henryk Biłka-Głębicki** w S.: Rebusiki dobre. — **Józef Kapuściński** w L.: Wszystkie utwory są zakwalifikowane do druku, a że tak długo czekają swej kolei, to powodem tego tylko brak miejsca. — **Franciszek Chmiel** w P.: Kalendarz i okładki wysłano 26 listopada br. — **Jan Gara** w W.: Nadesłane szarady zupełnie dobre. — **Stefan Ski** w K.: Owszem w nadesłanych wierszach jest i styl dobry i odpowiednia forma; znać swobodę pisania, a to znaczy, że posiada Pan talent niezaprzeczony. Wiersze zupełnie nadają się do druku. — **Władysław**

Szwabowicz w K.: Artykulik zupełnie dobry, przeznaczamy go więc do świątecznego numeru. — **Halka z Podkarpacia:** Maciek czułym liścikiem ogromnie się ucieszył i kto wie, kto wie... czyby się nie namyślił... Jedna tylko przeszkoda, że on nie ma czasu na podróże. A możeby tak Halusia się przefatygowała do Krakowa, albo choć swoją podobiznę mu przesłała. Z charakteru pisma można wnioskować, że z Paniusi okrutecnie przytulna dzieuska. Prawda? — **Ludwik Kotrys** w M.: Bliższego adresu inż. Suchorzyńskiego niestety nie znamy. Co się tyczy cudownych uzdrowień w Lourdes, to nie działa tu żadne lekarstwo, ale niezachwiana wiara w pomoc Najświętszej Marji Panny, słynącej cudami w Lourdes. Z tysięcy chorych, którzy udają się tam z prośbą o pomoc do Marji Panny, tylko ci doznają cudownego uzdrowienia, którzy z głęboką wiarą błagają Ją o to uzdrowienie. Dobre utwory chętnie przyjmujemy do druku, ale za nie nie płacimy, gdyż nas na to nie stać. — **Władysław Janczarek** w W.: Nadesłany utwór jest zajmujący, ale brak w nim opracowania literackiego. Do druku oprócz zajmującej treści trzeba uważać również na styl i formę. Pierwsza ta próbka świadczy, że mógłby pisać Pan zajmujące opowiadania, gdyby zechciał Pan popracować nad sposobem wyrażania swych myśli. — **Z. R. W.:** „Ostatnia łza" to utwór o głębokiej treści, ale zbyt pospiesznie napisany. Po gruntownem wygładzeniu zasługiwałby w zupełności na wydrukowanie. — **Mila** w P.: Kiedy Kochana Pani czy Panna Mila nas nie posłuchała, a szkoda! Każdy wiersz napisany trzeba najpierw samej dokładnie przeczytać i zastanowić się, czy w nim co nie razi. Gdyby to Pani uczyniła, to przekonałaby się, że są w wierszach usterki, których możnaby uniknąć. Myśli ładne, treść miła, ale całość psują pewne braki, a więc w jednym rym niewłaściwy np. „Baldachim-Mchem", albo: „świecie-życie", w innym ilość zgłosek, wreszcie znów w innym następstwo słów. A szkoda, gdyż byłyby to wierszyki naprawdę miłe i ładne. — **Kachna M.** w N.: Niechże się tak panienka do ślubu nie spieszy, gdyż powiadają, że ślub jest grobem miłości. Może kłamią, ale gdyby tak było, to szkoda naprawdę tych dni jasnych, tych chwil uroczych, które dziś młode dziewczę przeżywa. Na łzy i smutek, na zawody i boleści dość jeszcze czasu. Twierdzą ludzie starzy, że życie jest snem, czemuż więc nie śnić wesoło, ale dobrowolnie łzami oczy zraszać. Ale niech tam! Kiedyż na wesele mamy przyjechać. Może w święta? I owszem; mamy czasu więcej, to gotowiśmy i to wszyscy! — **Józef Markowski** z D.: Nie wiedzieliśmy na co pieniądze przeznaczone i przypisaliśmy do prenumeraty. Po wyjaśnieniu wysłaliśmy 3 grudnia b. r. — **Stanisław Jamiałkowski** w B.: Niechże Pan na przyszłość nie da się naciągać na żadne wydatki owemu pocztyljonowi, któremu do numeru „Roli" nie wolno nawet zaglądać i badać czy „Rola" opłacona czy nie, bo go to nic nie obchodzi. Jeżeli „Rola" przyszła ma doręczyć i koniec. Jeżeli którego numeru Panu brak, to prosimy napisać nam. — **Katarzyna Groń** w S.: Brakujący numer posłaliśmy. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie Panią pozdrawiamy. — **Jan Wyzga** w O.: Urząd pocztowy w Woli Justowskiej odpowiedział, że „Rola" przychodzi regularnie i zaraz do gminy Olszanicy posłańcowi wydaje. Wobec tego wniesiemy skargę na wójta do Starostwa krakowskiego.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

5	2	5	10	Zwierz.
6	11	0	4	Składa ryba.
8	4	12	4	Przeszkoda.
9	2	13	4	Płyn.
4	1	13	4	Imię żeńskie zdrobniałe
14	2	10	4	Czas.
2	13	10	4	Rzeka.
13	4	8	4	Dzień.
14	6	7	4	Potrzebna w tartaku.
7	15	1	4	Płomień.
2	11	1	2	Część domu.
9	6	7	11	Zwierz.
3	15	13	4	Dziwy.
4	1	13	16	Góry w Ameryce.
12	16	17	18	Gryzoń.
6	19	7	4	Przyrząd do szycia.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą ważny wypadek historyczny w Polsce.

2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

I.

Pierwsze drugie trzecie przestępców oddają,
Którzy za ich winy karę wymierzają,
Trzecie czwarte pół pierwsze, męskie imię [będzie,
Pierwsze pół trzecie i pierwsze to ptak zna-[ny wszędzie.
Aby całość wnet odgadnąć, pewnie wam [zależy,
Więc wam powiem: nazwa miasta, do Pol-[ski należy.

II.

Pierwsze trzecie nazwa ptaka,
Lecz nie powiem — zgadnij jaka?
Różnych drugich, jak to wiecie,
Wśród narodów dość na świecie,
Dużo różnych nazw ich znamy,
Lecz najlepszą my z nich mamy.
A samo zaś trzecie trzecie
Bawić umie miłe dziecię.
Całość zwykle w miastach bywa,
Czyś już zgadł jak się nazywa?

3. Zagadki.

(Ułożył Franciszek Macioł).

I.

Pierwsze z drugiem pracują,
Drugie z pierwszem malują.

II.

Wprost, by nie grzech byłbym wieczny,
Wspak niektóry niebezpieczny.

(Ułożył Józef Sołtys z M.).

III.

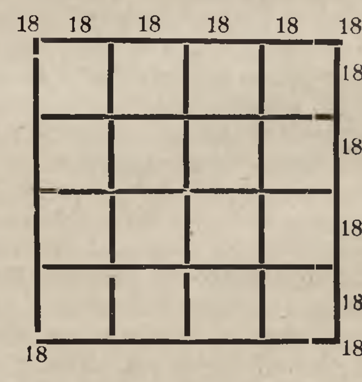
Dlaczego wrony lecą do lasu?

IV.

Brat ze siostrą, mąż ze żoną
Siedzieli oboje pod jabłonią,
Naraz coś się stało?!
Spadły cztery jabłka,
Każde z nich po jednym dostało
I jeszcze im jedno zostało!

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Wł. Szwabowicz z K).



W powyższych kratkach tak umieścić cztery trójki, cztery czwórki, cztery piątki i cztery szóstki, aby we wszystkich kierunkach dały na wynik liczbę 18.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 48 „Roli": 1. Logogryf: Tadeusz Kościuszko. 2. Arytmograf: Pakt Kelloga. 3. Szarady: I. Litera. II. Potwierdzenie. III. Kawałek. 4. Łamigłówki: Pola-dola-woda-soda-moda.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Stanisław Matuga z Ł. D., Alfons Czader z S. W., E. Unsing z P., Józef Kapuściński z L., Rudolf Kula z K. M., Józef Kaizer z W. G., Piotr Wenc z S., Stanisław Porębski z P., I. Zajączkowski z S., Jakób Jeziorański z K., Piotr Leśniak z M., Jan Gara z W., Franciszek Kaletka z K. W., Henryk Biłka-Głębicki z S., Antoni Frączek z P. i Władysław Szwabowicz z K.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Leśniak w M. i Stanisław Porębski w P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Strata czasu.

Zagniewana jejmość robi wymówki swemu mężowi: — Nie rozumiem, jak można codziennie grać w karty, przecież to... strata czasu.

— A tak, szczególnie podczas tasowania kart — odpowiada skruszony małżonek.



Ksiądz: — Jakie imię dajecie dziecku na chrzcie?

— Serwacy.

— Skądże wam do głowy przyszło takie mało używane imię?

— Taki patron, księże dobrodzieju najlepszy, bo mało ma ludzi pod swoją opieką, to mi mego chłopca lepiej dopilnuje.



Gdyby można czytać w myślach ludzkich, niejedna głowa byłaby podobna do pustego dzwonu.

Przy herbatce.

Iks czyta w gazecie wypadki: ...bandyta strzelił w jednego z przechodniów. Na szczęście kula trafiła w guzik, spłaszczyła i upadła na ziemię.

— Wiesz co Zosiu, mnie by nie spotkało takie szczęśce?

— Dlaczego kochanie? — pyta żona.

— Bo czy ja mam kiedy przyszyte guziki?



Dozorca do wylegującego się na ławce włóczęgi: — Słuchajcie, już 9-ta godzina, park się zamyka!

Włóczęga: — Niech pan spokojnie zamyka, ja już tego wieczoru nie wychodzę...

* * *

Gotówkę każdy jest przyjąć gotowy i dlatego ona się tak nazywa, a nie dlatego, że pieniądz jest gotowy pod ręką.

* * *

Powiedzieć coś mężczyźnie, to jednem uchem wejdzie, a wyjdzie ustami!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 30 listopada b. r.

Pszenica	47·00—47·50	Słoma długa	11·00—12·00
Żyto	36·00—37·00	Ziemniaki stoł.	7·00—8·00
Owies	36·00—37·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	33·00—35·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	51·00—52·00
Groch zwyk.	60·00—65·00	Mąka pszen.	75·00—77·00
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby pszen.	28·00—28·50
Koniczpastew.	33·00—35·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 30 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·98 do 1·59 zł.	Jałownik	od 1·08 do 1·45 zł.
Woły	od 1·05 do 1·50 zł.	Cielęta	od 1·33 do 2·04 zł.
Krowy	od 0·75 do 1·37 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·42 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do 3.10